Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 31

Dzieje obrazu Matki Boskiej
w Myślenicach

Cudowny obraz Matki Boskiej w Myślenicach, który wśród różnych zawieruch, jako najcenniejszy zabytek z czasów wójtowskich Myślenic z doby współczesnej do dziś dnia pozostał, ma ciekawą historję.

Obraz ten przez długie lata był własnością prywatną papieża Sykstusa V. w Rzymie w jego apartamentach i stanowił dla niego najcenniejszy klejnot. W r. 1590 zapisał go w testamencie swoje krewnej ksieni i przełożonej zakonu w Wenecji. Magnaci polscy, szczególnie wyżsi dostojnicy państwa wskutek stosunku politycznego, datującego się głównie od czasów królowej Bony, jeździli często do Włoch, do Rzymu i Wenecji i nieraz składali różne ofiary czy to dla papieży, czy poszczególnych kościołów lub klasztorów.

Jednym z takich był książę Jerzy Zbarawski, kasztelan krakowski, który otrzymał od ksieni zakonu, krewnej papieża Sykstusa V, wspomniany obraz, aby był morzem łask dla jego domu i całego narodu". Książę Zbarawski przywiózł go do Polski i przez 20 lat był w jego mieszkaniu „w wielkiem poważaniu". Kiedy w r. 1624 wybuchło w Krakowie morowe powietrze, pochłaniające tysiące ofiar, książę kazał swojej służbie wszystkie rzeczy znajdujące się w jego mieszkaniu wywieźć za wiślaną bramę i spalić, aby w ten sposób odkazić mieszkanie. Służba księcia, Gojski, kucharz, wyznania kalwińskiego, wraz z 3 swymi pomocnikami, Wojciechem Molborskim, St. Jastrzębskim i St. Krzeczą, załadowali wszystkie rzeczy i wywieźli na miejsce spalenia.

Wtem nadszedł oficjalista księcia, Marcin Grabysza, rodem z Górnej Wsi, przedmieścia Myśleniec, zobaczywszy piękny obrazek między rzeczami, prosił Gojskiego, aby mu go podarował. Gojski jako kalwin nie przywiązując do niego większej wagi, zgodził się, ale pod warunkiem, aby o tem nikomu nie mówił i aby go ukrył przed księciem. Po spaleniu wszyscy udali się do Łagiewnik, wsi księcia, dla odkażenia się.

Grabysza również poszedł z nimi, zabierając obraz, który przeez cztery lata przechowywał w swoim pokoju w Łagiewnikach. W najbliższą sobotę wieczór, gdy kucharz przygotowywał kaszę na kolację, począł wyśmiewać się z obrazu Grabyszy i w żarcie wobec pomocników rysował podobiznę obrazu na kaszy. Za każdą rysą pojawiła się krew, w końcu uczuł zdrętwienie ręki, z której wypadł mu nóż. Przerażony tem zjawiskiem, dla wszystkich z otoczenia nadzwyczajnem, ślubował, że jeżeli wyzdrowieje, to przejdzie na wiarę katolicką. Po złożonym ślubie natychmiast wyzdrowiał, poczem nazajutrz udał się na Kalwarję i tam wstąpił do zakonu. Za jego przykładem wstąpił również Malborski do zakonu OO. Bernardynów w Krakowie, zaś Jastrzębski został świeckim kapłanem.

Fakt ten, stwierdzony przy późniejszem badaniu, przebrzmiałby bez większego echa, gdyby nie nowy wypadek, jaki wydarzył się posiadaczowi obrazu, Grabyszy. Grabysza, dowiedziawszy się o całem zajściu, przeniósł obraz z Łagiewnik do swojego prywatnego domu do Myślenic na Górne Przedmieście i tu ukrywał go przed okiem księcia. Tymczasem po kilku latach, mianowicie 1 maja 1633 r., poczęły się dziać niezwykłe zjawiska z obrazem księcia.

Na twarz Matki Boskiej i Pana Jezusa zaszła mgławica „jakby subtelna jedwabnica". Na włosach twarzy pojawiały się krople potu, to znów znikały, to znowu rozchodziła się od obrazu „woń rozmarynowa, różana i fijołkowa". Wieść rozeszła się o tem po całej okolicy, ludność poczęła się modlić do powyższego obrazu, doznając licznych cudownych uzdrowień.

W końcu zajęły się tym obrazem krakowskie władze kościelne. Na polecenie współczesnego biskupa zjechał do Myślenic Ks. Erazm Kretkowski i po ścisłych dochodzeniach i badaniach pochodzenia obrazu Matki Boskiej, po przesłuchaniu świadków Gojskiego, Grabyszy i wielu innych, którzy doznali cudownego uzdrowienia i po naradach teologów krakowskich wydał dekret, uznający powyższy obraz za cudowny.

Obraz, który na czas inkwizycji kościelnej przeniesiono z domu Grabyszy do specjalnej skrzyni w zakrystji kościoła parafjalnego w dniu 2 lipca 1633 po powtórnem przybyciu ks. Erazma Kretkowskiego jako archidjakona i wikarjusza biskupiego w dzień Nawiedzenia Panny Marji został wśród wielotysięcznego tłumu okolicznej ludności i wielkiej liczby duchowieństwa wydobyty i po uroczystej procesji własnoręcznie przez archidjakona ks. Kretkowskiego umieszczony na ołtarzu kościoła parafjalnego, przed którym odprawił pierwszą solenną mszę świętą.

Dzień więc 2 lipca 1633 r. jest bardzo ważnym dla historji Myślenic, jest bowiem dniem ogłoszenia obrazu Matki Boskiej Myślenickiej za cudowny i oddania go do publicznej czci wiernym katolikom. To też każda rocznica powinna być dla myśleniczan ze szczególną uroczystością święcona i obchodzona.

W dniu 2 lipca 1933 przypadł **jubileusz 300 letniej rocznicy uznania obrazu Matki Boskiej w Myślenicach za cudowny,** w którym to dniu i roku cudowny obraz Matki Boskiej powinien zostać uroczyście koronowany na podziękowanie za niezliczone łaski, jakich doznała za Jej pośrednictwem w ciągu 300 lat ludzkość i nasza Ojczyzna w różnych potrzebach.

Od chwili uznania obrazu Matki Boskiej w Myślenicach za cudowny i oddania go do publicznej czci poczęły się mnożyć liczne cuda, których w ciągu następnych 8 lat zanotowano w księgach kościelnych i miejskich w liczbie 1428. Za doznane łaski składano jako wota cudownego obrazu do skarbca kościelnego: np. Stanisław Koniecpolski, hetman koronny, srebrną tablicę, regimentarz Gumiński szablę złotą, miecznikowa Zebrzydowska złotą koronę, Anna Lubomirska kasztelanowa wojnicka 4 pary złotych łańcuchów, Andrzej Czarnecki, burgrabia krakowski, złoty pierścień z kosztownym djamentem, Jan z Tenczyna, wojewoda krakowski, 3 srebrne wieczne lampy itd.

Współczesny proboszcz myślenicki, ks. Wojciech Ofiarowicz, bakałarz filozofji Akad. Krak., wszystkie wota zebrane w ciągu 8 lat oszacował na 40.000 zł.p. Za staraniem ks. Wojciecha Ofiarowicza i ks. Erazma Kretkowskiego, archidjakona biskupa w Krakowie ustanowiono przy kościele parafjalnym w Myślenicach w 1636 r. „mansonerję", złożoną z 5 księży, mieszkających w osobnym budynku, których jedynym obowiązkiem było dla oddania większej czci Matce Boskiej, odprawianie nabożeństwa kolejno przed cudownym obrazem. Na utrzymanie „mansonerji" ofiarował ks. Ofiarowicz 16.000 złp. i zabezpieczył je na dobrach Zawada, Sroszyce i Kośmice.

Na pomieszczenie cudownego obrazu Matki Boskiej myślenickiej wybudował kasztelan krakowski St. Koniecpolski w r. 1642 wspaniałą kaplicę z ciosowego kamienia, o czem świadczą do dziś istniejące herby „Podkowa" na sklepieniu kaplicy i jeden nad mniejszemi drzwiami. Miasto Myślenice stało się sławnem nietylko na całem Podhalu, Spiżu i Orawie i w całej Polsce, nawet zagranicą.

Dowodzi tego fakt, że księżna de Guebriant, jako posłowa Francji na dwór króla Władysława IV., rozmyślnie podróż swą skierowała, „aby to sławne miejsce odpustowe w Myślenicach zwiedzić i tam się pomodlić". Nic dziwnego, że z licznych pielgrzymek odpustowych mieszczaństwo myślenickie ciągnęło także zyski materjalne, co przyczyniło się w wysokim stopniu do podtrzymania ekonomicznego miasta. W czasie trwania bogatych „odpustów myślenickich" rozwinął się handel kramarski, szczególnie malarzy domorosłych, którzy z podobizn cudownego obrazu Matki Boskiej, przez nich robionych, ciągnęli od pątników wielkie korzyści. Podobizny i różne mniej lub więcej udatne kopje, spotykamy jeszcze dzisiaj prawie w każdym domu staromieszczańskim w Myślenicach, na całem Podhalu, Spiżu i Orawie.

Jedną z takich głównych kopij obrazu Matki Boskiej myślenickiej jest dzisiejszy obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej, którą kazała rodzina Lancokorońskich i Zebrzydowskich sporządzić dla kościoła kalwaryjskiego, a który to obraz uznany został za cudowny, a nawet przed 25 laty koronowany pod nazwą Matki Boskiej Kalwaryjskiej. Liczne cuda, jakich doznawano za pośrednictwem Matki Boskiej w Kalwarji, zbudowanie kaplic Drogi Krzyżowej, spowodowało upadek bogatych odpustów myślenickich.

Z pominięciem Myślenic pobożne rzesze pątników skierowywały swe pielgrzymki do Kalwarji Zebrzydowskiej, której wspaniałość kościoła, klasztoru, liczne kaplice, robiły silniejsze wrażenie. W ten sposób Kalwarja Zebrzydowska stała się niejako Mekką odpustową dla całego Podhala, Śląska, Spiża, Orawy i reszty ziem Polski.

Mimo to myślenickie odpusty i sama cudowność obrazu nie zatracała na swej wartości. Świadczyły o tem mnożące się w skarbcu kościoła parafjalnego coraz liczniejsze wota wielkiej wartości.

Wszystkie wota złote, srebrne, bezcennej wprost wartości, zabrał pod pozorem ochrony przed najazdem Szwedów w roku 1655 ówczesny ks. Jan Kazimierz Belza, proboszcz parafji myślenickiej i zastawił je w Krakowie, a pieniądze roztrwonił w Kiezmarku, uchodząc przed inwazją nieprzyjacielską. Proboszcz ten, według współczesnych urzędowych aktów „przywłaszczał sobie grunta mieszczańskie, pozbawił wikarjuszy i mansyonarzy funduszów na utrzymanie, prowadził życie awanturnicze i niemoralne, zaniedbywał pieczę dusz i kościoła, za co został uwięziony z polecenia biskupa A. Trzebiskiego na zamku w Borzęcinie. Po długich dochodzeniach i procesach kościelnej władzy w r. 1669 został restytuowany na probostwo myślenickie przez papieża Klemensa pod warunkiem przysięgi, że zwróci kościołowi i kaplicy Matki Boskiej, co sprzedał lub co z jego winy się zmarnowało. Tytułem niejako ekspjacji po ukończonej wojnie szwedzko-polskiej ufundował ks. Belza dla kościoła parafjalnego dzwon o średnicy 1 m. z napisem „Joannes Casimirus Belza, parochus a. d. 1660.

Po śmierci jego probostwo myślenickie objął w r. 1683 ks. Teodor Potocki, późniejszy biskup warmijski i arcybiskup gnieźnieński, który bardzo gorliwie zaopiekował się kościołam parafjalnym i skarbcem kościelnym. Szczególnie uporządkował całą gospodarkę parafjalną, odrestaurował spalony kościół, w czem doznawał wielkiego poparcia przez ówczesnego kasztelana krakowskiego Stanisława Warszyckiego.

Mimo spalenia kościoła parafjalnego przez Szwedów w r. 1655 i późniejszych pożarów, oraz zmarnowania bogatych wotów, stwierdzić należy, że cudowny obraz Matki Boskiej myślenickiej sam jako taki nie zniszczał, a liczne wota i zapisy spotykane w księgach miejskich aż do najnowszych czasów świadczą o wielkiej jego sławie i znaczeniu wśród wyznawców kościoła katolickiego i gorliwych opiekunów kościoła parafjalnego, jakimi byli późniejsi księża proboszczowie.

Do najpiękniejszych fundacyj w r. 1758 należy zapis podchorążego wojsk polskich Jana Krzelczyc Mrożka, który darował 2.000 zł.p. i zabezpieczył na dobrach Stojowice dla proboszcza myślenickiego i jego następców po wieczne czasy z obowiązkiem utrzymywania z procentów 2 trębaczy, którzyby codziennie z rana i z wieczora wygrywali pieśni pobożne na cześć Matki Boskiej myślenickiej z wieży kościelnej lub na cmentarzu. Obowiązek ten spełniają po dzień dzisiejszy proboszczowie z tą tylko zmianą, że trębacze odgrywają pieśni pobożne przez cały maj, jako miesiąc poświęcony Matce Boskiej.

Kult i cześć do Matki Boskiej myślenickiej historycznie stwierdzone w ciągu 300 lat, liczne cuda, szczególnie cudowne ocalenie miasta i powiatu Myślenic, a tem samem ocalenie Krakowa w roku 1914, powinno skłonić szlachetne serca duchowieństwa, właścicieli dóbr, mieszczaństwa i rzesze katolickie do wnoszenia ofiar na ręce ks. dr. Andrzeja Kościółka, proboszcza i dziekana parafji Myślenic na koszta starań u władz kościelnych o dokonanie koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej w Myślenicach jako aktu wdzięczności za wylanie morza łask dla grodu i całej Ojczyzny.

Prof. Ludwik [illegible]

Kartuzi i ich klasztory

Sprawa restytucji słynnego klasztoru w **Grande Chartreuse** ich prawowitym właścicielom, tj. zakonnikom reguły św. Brunona, zwanym Kartuzami, stała się niedawno głośna, a to wskutek listu otwartego, jaki wystosował deputowany francuski Chastenet do Prezydenta Republiki.

Właśnie w roku bieżącym upływa 850 lat od chwili, gdy św. Bruno, podówczas kanclerz arcybiskupi w Reims, chroniąc się przed prześladowaniem, złością i zawiścią ludzką, przeniósł się wraz z sześcioma towarzyszami w zaciszną okolicę Guiers - Mort, u podnóża Alp francuskich.

Tam to, wśród gęstych lasów, w miejscowości zwanej Chartreuse, zbudował małą pustelnię, wiodąc w niej żywot świątobliwy. W krótkim przeciągu czasu okazała się potrzeba specjalnej reguły klasztornej, wzorowanej w zasadzie na najpowszechniejszej podówczas regule Benedyktynów, a uzupełnionej ostrą regułą Kamedułów.

Zakonnik, za którym raz zamknęły się podwoje klasztoru Kartuzów, — umiera dla świata. Żyje odtąd w zupełnem odosobnieniu, obcując jedynie z Bogiem i przygotowując się do życia wiecznego.

Otrzymuje maleńki domek, złożony z czterech ubikacyj oraz kawałek ogrodu, który musi sam uprawiać. Pieczęć wiecznego milczenia zamyka mu usta aż do zgonu. A gdy zamknie oczy na sen wieczny, bezimienne jego zwłoki spoczną na klasztornym cmentarzyku — i tylko prosty drewniany krzyż bez żadnego napisu zdobi świeżą mogiłę.

Zbudowana przez św. Brunona w roku 1084 pustelnia uległa wkrótce już, bo w roku 1132 zburzeniu, skutkiem oberwania się skały.

Na jej miejscu stanęły wkrótce liczne nowe zabudowania, w których świątobliwi zakonnicy wiedli cichy a pracowity żywot, stając się błogosławieństwem dla całej okolicy.

Okres francuskiej rewolucji przerwał ich działalność. Nie na długo jednak: już w roku 1816 wrócili Kartuzi do swej siedziby, skąd rząd francuski wygnał ich w roku 1903, — przejmując zabudowania „Grande Chartreuse" pod zarząd państwowy jak „monument historique", zwiedzany chętnie przez rzesze turystów.

Koszty utrzymania i restauracji licznych tych budynków zbyt są wielkie, by można je pokryć z opłat uiszczanych przez turystów. Toteż cały kompleks zabudowań „Grande Chartreuse" przedstawia dziś smutny obraz kompletnej ruiny i opuszczenia.

W dziesięć lat po założeniu „Grande Chartreuse" udaje się św. Bruno do Kalabrji. Tam, w dolinie Ancinale, w pobliżu dzisiejszego miasteczka Serra San Bruno, zakłada drugi klasztor Kartuzów zwany **San Stefano del Bosco**, — i w klasztorze tym przebywa aż do śmierci swej, do roku 1101.

Klasztor ten wraz z kościołem uległ zniszczeniu w roku 1783 skutkiem trzęsienia ziemi, został jednak z końcem XIX. wieku częściowo odbudowany.

Z innych, licznych klasztorów Kartuzów we Włoszech wymienić należy przedewszystkiem słynną w całym świecie **Certosa di Pavia**, założoną w roku 1396 sumptem i staraniem księcia Giovanni Galeazzo Visconti i żony tegoż, Katarzyny.

Fasada kościoła klasztornego, z białego marmuru kararyjskiego, jest najpiękniejszym okazem wczesnego renesansu włoskiego z XV. wieku w północnych Włoszech.



La Grande Chartreuse

Certosa di Pavia przechodziła rozmaite koleje losu. I rząd włoski również przez szereg lat traktował cały klasztor wraz z kościołem jako zabytki sztuki włoskiej, pozostające pod opieką państwa. Ostatnio jednak Kartuzi wrócili do tej swojej dawnej siedziby.

W dolinie rzeki Pessio na południe od Cuneo, leży Certosa di Pesio, której data założenia sięga roku 1173. Urocza ta miejscowość, wśród wspaniałej górskiej, lesistej okolicy stała się oddawna znanym zakładem wodoleczniczym i stacją klimatyczną.

W przepięknej też okolicy, w pobliżu Florencji, znajduje się **Certosa di Val d'Ema**, założona w roku 1341, a znajdująca się dotychczas w posiadaniu zakonników. Założycielem tejże był bogaty florentyńczyk, Mikołaj Acciajoli którego grobowiec mieści się w podziemiach kościoła.

Po wygnaniu z ich siedziby w „Grande Chartreuse" przenieśli się Kartuzi do Włoch, gdzie w pobliżu miasta Lucca mieści się obecnie główna siedziba całego zakonu. Natomiast słynna fabryka likierów przeniesioną została z Grande Chartreuse do Tarragony w Hiszpanji.

Zakon Kartuzów posiada klasztory i w innych krajach europejskich. Jednym z najpiękniejszych jest klasztor w **Val Sainte**, w Szwajcarji francuskiej, położony wśród przepięknej okolicy, u stóp niebotycznych olbrzymów alpejskich. **(R.)**

„Kryzysowe" środki spożywcze

w dawnych czasach

Gnębiący świat od dłuższego czasu kryzys czyni aktualnem poniekąd pytanie, jak radzono sobie w podobnych sytuacjach dawniej. Nasz kryzys ma zresztą osobliwy charakter. Jest to bowiem podobno, jak twierdzą ekonomiści, kryzys „przez nadmiar".

Przyczyną natomiast licznych okresów głodu w wiekach ubiegłych były nieurodzaje, wywołane bądź przez klęski elementarne, bądź przez wojny. Historja zanotowała takich głodowych okresów wiele. Bardzo częste były one w średniowieczu. W samych np. Niemczech na przestrzeni sześciuset lat naliczono ich około 300. Coraz rzadsze w czasach nowożytnych, ustały w Europie zach. w XIX. w. zupełnie. Pozostały jednak na wschodzie i w Azji.

Głównym ratunkiem przed śmiercią głodową było zbieranie dla celów pokarmowych roślin dziko rosnących. Ponieważ przed rozwinięciem się rolnictwa zbieractwo takie stanowiło główną podstawę wyżywienia człowieka, przeto okresy głodu były zarazem okresami perjodycznego nawrotu do tej, najstarszej formy gospodarki ludzkiej.

Użytkowanie roślin dzikich miało rozmaity charakter. Części zielone: liście, młode gałązki, były używane bądź na „barszcz", bądź na „szpinak". W Polsce przyrządzano taki „kryzysowy" barszcz z liści szczawiu, młodych ostów, pokrzyw, lebiody gorczycy, macierzanki, a nawet leszczyny. Dodawano mąki i dla smaku mleka. U górali głównemi składnikami były liście kminu dzikiej cykorji i pokrzywy. Podobny skład „florystyczny" miały też „szpinaki". Uzupełniały go liście buraków, koniczyna, łupy ziemniaczane, kaczany kukurudzy, sieczka zmieszana z grysem, a nawet liście drzew.

Często jadano pędy skrzypów. Według Moszeńskiego („Kultura ludowa Słowian") na Wielkorusi „jeszcze dziś całe rodziny włościańskie karmią się na wiosnę owocującemi pędami skrzypu. Napełniają kosze i jedzą na surowo". Wielkorusini mają spożywać też pędy i kwiaty sosen, oraz pieczone młode szyszki świerków. Ten ostatni rys ma także występować u naszych górali.

W Polsce jadano także bażki leszczyny, czego echem ma być zwyczaj połykania bazi na Wielkanoc. Korzystano również z jagód i grzybów, oraz całego szeregu roślin innych, między innemi z lilij wodnych, czyli grzybieni. Za pokarm służyły tu łodygi kwiatowe i młode torebki nasienne. Szczegół ten zużytkował — jak wiadomo — Słowacki w „Lilli Wenedzie".

Różnorodny, a nieraz b. osobliwy skład miewały chleby i placki sporządzane w krytycznych latach. Mąka zbożowa była tu tylko dodatkiem. W Szwecji sporządzano placki takie z mąki otrzymanej przez zmielenie wewnętrznej warstwy kory sosnowej (ew. lipy, lub buka), posłania, słomy (wziętej czasem nawet z łóżek), kości, nasion szczawiu (Rumex Acetosella), a nawet w najgorszym razie suchego nawozu bydlęcego. Składniki te w rozmaity sposób kombinowano i uzupełniano w miarę możności mąką żytnią.

Na północy np. w Islandji otrzymywano mąkę prawie wyłącznie z porostów. Główną rolę odgrywały tu: płucnica islandzka (Cetraria islandica) i chrobotek reniferowy (Cladonia rangiferina) Niekiedy w skład takich placków wchodziły substancje mineralne, mianowicie glina. Zasłużony badacz polski dziejów pożywienia roślinnego A. Maurizio, z którego książek*) większość przytoczonych tu danych czerpiemy, znalazł w jednym z „głodnych" chlebów rosyjskich aż 60 proc. gliny. „Menu" godne chyba strusi!

W Polsce, o ile z dotychczasowych wiadomości wnosić można do takich skrajności, przynajmniej w nowszych czasach, nie dochodziło. Najczęstszą domieszką do mąki żytniej przy wypieku były otręby, oraz mąka z kłączy perzu, pospolitego chwastu polnego. Niekiedy sporządzano mąkę z ususzonych główek koniczyny, lub z żołędzi. W krajach pd-europejskich głównym surogatem mąki zbożowej jest mąka z kasztanów (prawdziwych, nie naszych).

Użytkowanie dzikich roślin w latach niedostatku stosowane dawniej przez ludność na własną rękę ujęły w swoje ręce w czasie wojny światowej rządy państw centralnych, niezmordowane w wyszukiwaniu coraz to nowych „ersatzów". Zaczęto więc propagować lebiodę, pokrzywę i buraka, zalecano zbierać kłącza trzciny i pałki i całą moc rozmaitych części roślin innych. Liście wierzbówki np. miały zastępować herbatę, nasiona żarnowca miały być namiastką kawy, lub fasoli itd. Wagonami wywożono kasztany (rzekomo na pasze, a wistocie na mąkę do chleba), z brukwi fabrykowano marmeladę i przyrządzano jarzyny, polecono zbierać nawet pestki wisien i czereśni dla wytłaczania z nich oleju. W całej tej akcji więcej było jednak sztuczności i papierowości niż zmysłu praktycznego, to też wyniki były dość nikłe.

Prócz roślin służyły na pokarm w latach głodu niektóre zwierzęta, normalnie do tego celu nieużywane. Tak np. w tarnopolskiem jadano żółwie błotne. We Francji uciekano się niekiedy do krwi bydła. W szczególnie ciężkich okresach głodu zachodziły w Europie wypadki ludożerstwa. M. K.

*) A. Maurizio „Pożywienie roślinne i rolnictwo w dziejowym rozwoju 1926."



Fasada kościoła w Certosa di Pavia

Romans biograficzny o Raleigh'u

Jednym z wynalazków naszych czasów, jest życiorys w lekkiej formie literackiej, czyli t. zw. romans biograficzny, rodzaj, powstały niewątpliwie ze skrzyżowania dwóch, dość od siebie odległych czynników, nauki i belletrystyki. Stosunek między obiema rzadko układa się w prawowite małżeństwo, częściej przybiera cechy dzikiego związku, a na metryce potomka wyjątkowo tylko widnieją wyrazy tori legitimi. Fakta niezawsze odpowiadają celom artystycznym (lub — niestety coraz bardziej uwzględnianym — kalkulacjom rynkowym), więc autor puszcza wodze fantazji, która ponosi go i doprowadza nieraz do zupełnie nieoczekiwanej mety.

Jeżeli są żywoty, odpowiadające celom romansu biograficznego, to należy do nich napewne żywot Sir Waltera Raleigh, żołnierza, żeglarza, dworaka, polityka, poety i historyka; za jednego panowania ulubieńca — zapewne kochanka potężnej królowej, za drugiego więźnia, straconego ostatecznie jako zdrajca stanu.

Sama epoka i środowisko, które wydały Raleigh'a, tchną romantycznością. Jedno i drugie ujął Sir John Everett Millais w sławnym obrazie „Chłopięce lata Raleigh'a". Tłem jest typowy nadbrzeżny krajobraz Devonu, tej ojczyzny elżbietańskich wilków morskich, kolonizatorów, odkrywców i korsarzy. Na twarzy niedorostka widnieje ekstaza. Z rozszerzonemi oczyma wsłuchuje on się w opowieść o bojach morskich, o oceanach, o lasach dziewiczych drugiej półkuli.

Rodzina Waltera, szlachetna, lecz niezbyt zamożna, mieszkała zdawien dawna w hrabstwie Devon — i uprawiała to, co dziś nazywałoby się rozbojem morskim, wówczas zaś było tylko jedną z form wojny (często bez jej wypowiadania). Łupiła zbuntowanych Irlandczyków, a czasem wyprawiała się i dalej, przeciw Hiszpanom — wszystko w imię patrjotyzmu (czy imperjalizmu) angielskiego i protestanckiej żarliwości. Nienawiść do Hiszpanów i fanatyzm protestancki miały na całe życie pozostać Walterowi, który jednak zaznajomił się i ze służbą wojskową na lądzie, walcząc w szeregach francuskich hugenotów.

Zwróciwszy na siebie uwagę dworu, Walter przez jakiś czas wybijał się i można było przypuszczać, że dojdzie do najwyższych dostojeństw. „Dziewicza królowa" napewne miała do niego słabość, on zaś napewne sławił ją w poemacie, którego większa część zaginęła. Podobno gdy raz wysiadała z łodzi, podesłał jej pod nogi własny płaszcz, aby nie zabłociła trzewików. Wogóle z postacią Raleigh'a łączy się cały szereg podań. Mówią, że jeden z pierwszych przywiózł do Anglji z drugiej półkuli tytoń i używał go podczas długich godzin, spędzanych nad książkami. Zastał go tak sługa, niosący posiłek, — zaczytanego i otoczonego kłębami dymu. „Gwałtu, memu panu zapaliła się głowa od tego ślęczenia nad foljałami!" — zawołał i wylał na Waltera cały dzban piwa.

Parokrotnie bowiem był Raleigh w Ameryce — pierwszy raz w r. 1599 wraz z bratem przyrodnim Sir Humphrey'em Gilbertem, jednym z najsławniejszych żeglarzy elżbietańskich. Celem ich było znalezienie odpowiedniego terenu na kolonizację, ale skończyło się na starciu z Hiszpanami. W r. 1584 rzeczywiście założono osadę w Wirginji, nazwaną tak na cześć „Dziewiczej królowej". Za powrotem otrzymał Raleigh godność rycerza. Podczas walki z Hiszpanami organizował energicznie obronę i odznaczył się w walce z Armadą. — W r. 1593 zniszczył jednak, jak się zdawało, swą dalszą karjerę przez tajne małżeństwo z jedną z dam dworu. Popadłszy w niełaskę, z pomocą przyjaciół uzbroił raz jeszcze flotyllę i wybrał się do Gujany, ale owocem podróży był jedynie zajmujący opis tego kraju.

Królowa przebaczyła mu wreszcie i Raleigh wziął w stopniu admirała udział w wyprawie na Kadyks w r. 1596 i przeciw Azorom w następnym. Najsławniejszym może ustępem z pism jego jest opis bohaterskiej śmierci Sir Ryszarda Grenville'a w nierównej walce jednego okrętu, słynnej Zemsty, przeciw flocie hiszpańskiej.

Odgrywał tedy Raleigh za Elżbiety wybitną rolę, atoli pomiędzy protagonistów, kształtujących naprawdę historję, nigdy nie zdołał się dostać. Nie wszedł do Tajnej Rady i nigdy nie sprawował naczelnego dowództwa na lądzie, ani na morzu. Spencer, z którym był w zażyłych stosunkach, wprowadza go do swej alegorycznej epopei jako giermka Timjasa — dzielnego i zasłużonego, ale giermka.

Nie był też Sir Walter lubiany. Zazdroszczono mu uśmiechów Elżbiety, sławy i zdolności, on zaś sam zrażał sobie ludzi okazywaniem wyższości i dumą. Jego usposobienie dobrze maluje się w wierszu „Kłam", w którym zadaje kłam, t. j. rzuca rękawicę wszystkiemu, co na świecie uważa za niskie i godne pogardy.

Ze śmiercią Elżbiety nastąpił tragiczny zwrot w losach Raleigh'a. Nieprzyjaciele oskarżyli go o spisek przeciw Jakóbowi I, proces poprowadzono z jaskrawą stronniczością i zapadł wyrok śmierci, którego na razie nie wykonano, aby pozostawić go zawieszony nad głową skazańca. Skonfiskowano mu majątek, a jego samego wtrącono do Tower, gdzie spędził lat dwanaście.

Na szczęście więzienie nie było zbyt ciężkie, miał przy sobie rodzinę, wychodził na platformę, zwaną do dziś dnia „miejscem przechadzki Raleigh'a" i wsłuchiwał się stamtąd w okrzyki powracających do Londynu marynarzy, przyjmował gości, do których należał nawet królewicz, i miał pod ręką obfitość ukochanych książek. Wziął się teraz do pracy nad olbrzymią „Historją świata" — i doprowadził ją do 130 r. prz. Chr. Napisał też szereg rozpraw politycznych i wojskowych.

Jakób I wiecznie potrzebował pieniędzy, Sir Walter obiecywał mu przez trzecie osoby, że w razie gdyby go postawiono na czele wyprawy do Ameryki, przywiezie mu góry złota. Słyszał przecież od Indjan o grodzie Manoa, rzekomo bogatszym jeszcze, niż Meksyk i Peru. Zresztą poddostatkiem złota mają Hiszpanie — Sir Walter nienawidził ich z całej duszy.

Król Jakób nie chciał wojny z Hiszpanją — pragnął przecież ożenić syna z infantką. Lecz na wizję bogactw był czuły, a uroczystości dworskie, bankiety, ulubiony teatr i widowiska mitologiczne dużo kosztowały. Miał też pierwszy ze Stuartów na tronie angielskim hojną rękę dla swych ulubieńców, dla Somerseta, potem dla Buckinghama. — Trudno było wszystko pokryć sprzedażą nowoutworzonej godności baroneta i podwojeniem grzywien, płaconych przez katolików... Stary lew odzyskał wolność i stanął na czele flotylli, ale miał jedynie szukać złota i przywieźć go dużo, dużo, jak najwięcej. Zapowiedziano mu przytem, że za starcie z Hiszpanami zapłaci głową.

Zapuściły się okręty Sir Waltera w nurty Orinoko. On sam leży chory w kajucie u ujścia rzeki. Nadchodzą wieści bolesne i straszne: Hiszpanie pierwsi uderzyli na niepożądanych gości i w walce zginął najstarszy syn Raleigh'a... Zapłaci im ojciec mordem, pożogą, spustoszeniem i wróci do ojczyzny — bez syna, bez złota, ze świadomością, że czeka go śmierć z ręki kata. Nowego sądu i wyroku nie trzeba, jest przecie dawny z przed lat kilkunastu.

Nieprzebrane tłumy ludu tłoczą się około Tower Hill, gdzie umierają zdrajcy stanu. Wiodą wysokiego starca o krzepkiej, marsowatej postawie. Dumnym i wzgardliwym wzrokiem mierzy gapiów, urzędników i katów. Spokojnie składa swą głowę na pniu, spada topór. Stało się zadość — sprawiedliwości, a może rozczarowaniu króla Jakóba... Było to 29 października r. 1618.

Czyż nie wspaniały materjał do romansu biograficznego? Czy trzeba go uzupełniać zmyśleniami? Czy niedość mieć dar opowiadania i trzymać się faktów? Czy wtedy książka nie zachwyci każdego czytelnika?

Takby mogło się zdawać. A przecie „Raleigh" Irvina Anthony)Londyn, Scribner, 1934) mimo, że autor niewątpliwie posiada dar opowiadania, roi się od fantastycznych dodatków. Nie znaczy to, aby autor zmienił coś zasadniczego w dziejach bohatera. Nie umiał jednak oprzeć się pokusie ich upiększenia.

Czy Raleigh miał stosunek miłosny z Elżbietą, czy nie, trudno osądzić. Mr. Anthony jest tego pewny i nawet dorabia rodzaj nastrojowego wstępu: Przecie Raleigh mieszkał w Islington, znanem ze schadzek, cichych altanek i niemoralności... Bez żadnego faktycznego uzasadnienia czyni go autor bohaterem drugiego romansu, również ze sławną niewiastą, bo z hrabiną Pembroke, siostrą Sir Filipa Sidney'a, a matką przyjaciela Szekspira. Cóż, elżbietańska arystokracja od trzystu lat śpi w grobowcach, nikt o cześć tej damy nie wyzwie na udeptaną ziemię. To znów nazywa Anthony lorda Carew zbyt ostrożnym i chwiejnym pomocnikiem sławnego kuzyna. Tymczasem Carew był jedynym człowiekiem, który w Tajnej Radzie śmiało i po męsku wystąpił w obronie Raleigh'a.

Ale dość tych przykładów — jeszcze tylko jeden, bo mi żal nie wspomnieć o królewnie czy księżniczce indjańskiej Pokahontas — tej, co pokochała angielskiego kapitana, poślubiła go i popłynęła z nim do jego odległej ojczyzny, aby ujrzeć splendor dworu Jakóba I i po paru miesiącach paść ofiarą klimatu. Mr. Anthony wyśnił sobie scenę spotkania między nią, a Sir Walterem, który traktuje ją jak damę z niebieską normandzką krwią w żyłach, przyklęka i całuje Indjankę w rękę. „Światłem zadowolenia zapłonęły oczy Pokahontas::: Ten człowiek był panem kapitana Johna Smitha, którego kochała. Rumieniec dumy ubarwił jej lica".

Otóż Sir Walter Raleigh — w r. 1616, kiedy kapitan Smith przybył z żoną do Anglji, właśnie wypuszczony z więzienia — nie mógł sobie rościć pretensyi do nazwy jego pana. Smith w r. 1598 wyruszył do Ameryki, a w tym czasie kolonja, założona w r. 1584 w Wirginji, padła już była ofiarą Indjan i Hiszpanów. Ale przedewszystkiem niema nic, coby wskazywało na jakiekolwiek stosunki między tymi ludźmi.

Książkę Anthony'ego czyta się przyjemnie, i treść historyczna jest zajmująca, i autor umie ją podać. Ale tori legitimi na metryce napisać niepodobna. Ojcostwo historji zbyt wątpliwe.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Radjo podczas powodzi

Wstrząsająca w swej grozie katastrofa powodzi pozwoliła nam ocenić w całej pełni wartość radja, jako nowego czynnika, grającego doniosłą rolę w życiu społecznem. A trzeba stwierdzić, że radjo potrafiło znakomicie dostosować się natychmiast do tej swojej nowej roli.

Przestało być zabawką czy rozrywką, za jaką dotychczas tak często uchodzi, — stając się jednym z ważnych i skutecznych, ba, nieocenionych wręcz środków pomocniczych w walce z rozszalałym żywiołem.

Kto sam nie padł bezpośrednio czy pośrednio ofiarą powodzi, kto w tych tragicznych dniach nie drżał z trwogi o los swych najbliższych, odciętych od świata, — ten może nie zdaje sobie należycie sprawy, jak ogromne usługi oddało radjo, pośrednicząc w przenoszeniu wiadomości, niosąc słowa otuchy i nadziei.

Przerwane połączenia pocztowe, telegraficzne i telefoniczne, — ludzkość w zagrożonym rejonie pozbawiona wszelkiej komunikacji patrzy z lękiem na piętrzące się dokoła wezbrane fale. Urząd pocztowy zdołał jeszcze w ostatniej chwili wystukać swoje rozpaczliwe S. O. S.

I cisza, — cisza przed burzą... Ale nie! Oto na falach eteru płyną z oddali pocieszające wieści: nie traćcie otuchy, ratunek już nadchodzi, pomoc już zorganizowana. Pamiętamy o was, robimy wszystko możliwe...

Gdzieindziej znów strwożona rodzina na napróżno wygląda wieści jakiekolwiek o losie swych dzieci, przebywających na letnisku czy w obozie harcerskim. Mijają długie godziny w nieznośnem oczekiwaniu i strasznej niepewności... Aż w pewnej chwili z głośnika radjowego płyną słowa pocieszenia: zdrowi, uratowani, przewiezieni w bezpieczne miejsce.

Radjowe stacje nadawcze, których zasięg obejmował tereny dotknięte powodzią, ujęły od pierwszej chwili inicjatywę w swoje ręce. A społeczeństwo w mig zrozumiało, jakie nowe możliwości daje radjo. Zapytania, zlecenia, napływały setkami, — wszystkie załatwiane z możliwym pośpiechem, z całą skrupulatnością i starannością. Bo każde, najdrobniejsze napozór zlecenie ,każda informacja potrzebna była i oczekiwaną niecierpliwie przez kogoś, który tylko tą jedną jedyną drogą mógł ją otrzymać.

Radjo stanęło natychmiast ochotnie w służbę społeczną. Dowiodło, ile może zdziałać, — zdało świetnie ten pierwszy egzamin społeczny w nowych, niezwykłych okolicznościach.

Działalność radja w tych dniach przekonała, przekonać musiała nawet ludzi najbardziej uprzedzonych, iż w mechanizmie współczesnego życia radjo stało się już jednem z najważniejszych kółek — i to kółkiem, funkcjonującem stale, bez zawodu, bez jakiejkolwiek przerwy.

O tem nam zawsze pamiętać należy.

(Lucy)

Wielka rodzina bohaterów

Mowa tu nie o Scypionach rzymskich, ani o starszych Karolingach (Karolu Młocie, Pepinie Małym i Karolu Wielkim), ani o mitycznych indyjskich Paluingach i Kuruingach, bohaterach „Mahabbaharaty", ani o Ramzesach egipskich.

Mowa o tych, którzy, choć istnieli prawdopodobnie w wyobraźni ludzkiej tylko, — urośli w opinji tysiącleci do granic najwyższego bohaterstwa, a imiona ich nietylko każdemu z nas są drogie i bliskie, ale dla nas wszystkich każde z nich niemal jest symbolem jakiegoś rodzaju wielkości, cnoty czy heroizmu. Mowa tu o bohaterach mitologji antycznej: o Heraklesie i Tezeuszu, Kadmosie i Edypie, Achillesie i Odysseuszu, Diomedzie i Nestorze i o wielu, wielu innych, których imiona w sumie dają pokaźną cyfrę kilkuset, a którzy, — choć rozproszeni według utartego mniemania w różnych epokach mitologicznych, w rzeczywistości stanowią jedną wielką rodzinę bohaterów — rodzinę największą, najświetniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały w tradycjach dziejów rodzaju ludzkiego.

Nasza znajomość mitologji ma z reguły nagół charakter nieusystematyzowany: wiemy o niektórych lokalnych cyklach podaniowych (np. cykl tebański — z Dionizosem i bachantkami, Kadmusem, Edypem i wyprawą siedmiu; cykl argejski — z Perseuszem i Andromedą; kreteński — z Minosem i Minotaurem i inne), o paru największych indywiduach bohaterskich: Heraklesie, Tezeuszu, Achillesie, Odysseuszu, — o wyczynach zbiorowych wreszcie, jak Łowy Kalidońskie, Wyprawa argonautów po złote runo i największa z wielkich akcyj zbiorowych: wojna trojańska.

Wszystkie te epizody w opinji przeciętnego kulturalnego czytelnika, a nawet miłośnika mitologji greckiej, mają jakiś oderwany lub urywający się charakter.. wynurzają się z nicości, by w nicość się zapaść, — po scenie zaś, na której rozgrywa się akcja tych różnych eposów, czy dramatów, czy nieraz sielanek mitologicznych, — uwijają się i snują postacie, zjawiające się niewiadomo skąd, plączące się, zaskakujące jedna na drugą, pojawiające się po kilka razy bez żadnego — zdawałoby się — logicznego czy chronologicznego (mowa o chronologji względnej, porównawczej, — bo bezwzględna, datowa w mitologji nie istnieje) związku między sobą, — jednem słowem, panuje chaos. I taki sam chaos panuje w głowie miłośnika mitologji.

Aż nagle zjawia się przed paru laty — i to w języku polskim napisana i wydana — książka, stanowiąca istną rewelację w tej dziedzinie. Książka o olbrzymiej wartości literackiej, książka pochłaniająca i porywająca, a której treścią jest nietylko przepiękne odtworzenie całej mitologji antycznej, ale przedewszystkiem mitologji tej ujednolicenie i usystematyzowanie.

Mowa tu o książce „Świat antyczny. Starożytność bajeczna" Tadeusza Zielińskiego, wielkiego polskiego uczonego jednego z największych hellenistów XX. wieku.

Walory literackie, naukowe i pedagogiczne tej książki doczekały się niejednej chyba recenzji, przez ściśle fachowe pióro napisanej, — toteż piszący te słowa pragnie zwrócić uwagę na jeden tylko fakt, związany z dziełem Zielińskiego, — fakt, mający zdecydowanie doniosłe znaczenie dla wszystkich miłośników mitologji antycznej.

Oto całą mitologję grecką Tadeusz Zieliński ujednolicił, czyniąc to w ten sposób, że w dziele jego wszystkie podania greckie mają pomiędzy sobą ścisłą łączność personalną, fabularno - treściową, logiczną, a przedewszystkiem mistyczno - ideową, nacechowaną elementem mesjanistycznym. Oto gdy w cyklu tebańskim naszyjnik Harmonji staje się przyczyną i źródłem wszystkich klęsk i tragedyj, i przenosi nawet swój wpływ złowrogi poza granice lokalne cyklu tebańskiego, — całą starożytność bajeczna owiewa nastrój oczekiwania na zbawiciela i odkupiciela, pół człowieka pół boga, jakim jest Herakles. Ten pierwiastek mistyczny przechodzi później i na główne osoby historji trojańskiej: Helenę i Achillesa.

Ale prócz tej łączności ideowo - mistycznej, istnieje, — jak już się powiedziało — łączność personalna, rodzinna. Oto uważny i dobrze orjentujący się w mitologji czytelnik książki Zielińskiego z wielkiem zdumieniem spostrzeże, że wszyscy (dosłownie wszyscy, z małemi nic prawie nieznaczącemi wyjątkami) bohaterowie połączeni są związkami krwi i powinowactwa poprzez małżeństwo w jedną olbrzymią rodzinę, — której żadna inna nie dorówna świetnością.

Gdyby się na podstawie książki Zielińskiego zrobiło tablice genealogiczne bohaterów poszczególnych cyklów na wzór istniejących podobnych tablic, dotyczących rodów królewskich francuskich, angielskich niemieckich, polskich itd., — okazałoby się, że wszystkie te cykle są ze sobą ściśle związane przez częste zawieranie małżeństw między przedstawicielami poszczególnych cyklów. O ile zaś te genealogie zestawimy przy pomocy chronologji względnej, porównawczej, tzn. szeregując pokolenie bohaterów wojny trojańskiej, jako najliczniejsze i nie nasuwające żadnych wątpliwości co do rzeczywistego współdziałania bohaterów tej wojny w jednem pokoleniu, — będziemy mieli systematyczny, dokładny i dla orjentacji bardzo dogodny obraz jednej wielkiej rodziny, jaką stanowią wszyscy bohaterowie mitologji antycznej.

Wtedy też dowiemy się wielu ciekawych i często zupełnie nieoczekiwanych rzeczy. Tak np. okaże się, że Diomedes znakomity bohater V-tej pieśni Iljady, znajduje się w bliskich stosunkach rodzinnych z Heraklesem, którego żona Dejanira była siostrą Tydeja, ojca diomedowego. Przez Tydeja również idzie od Diomedesa linja pokrewieństwa do Jazona, zdobywcy złotego runa, do Nestora, a przedewszystkiem do dobrze znanej sofoklesowej Antygony, której brat Polinik był mężem jednej z córek króla Adrasta, którego druga córka była matką Diomedesa.

Na przykładzie Diomedesa widzimy, jak silnie łączą różne węzły krwi różnych bohaterów mitycznych, a przykład to nietylko nieodosobniony, ale niebardzo charakterystyczny jeszcze. Ciekawszą jest rzeczą fakt, że matka Tezeusza była stryjeczną siostrą Agamemnona, że Penelopa — stryjeczną siostrą Pięknej Heleny, a kreteński Minos poprzez matkę Europę w ścisłem znajdzie się pokrewieństwie z tebańskiemi potomkami Kadmusa, a więc i z nieszczęśliwym Edypem.

Przykładów takich można mnożyć bez liku, a wszystkie one wyraźnie podkreślają charakter mitologji greckiej, jako historji wielkiej, potężnej rodziny. Rozumie się, zdarzają się czasem nielogiczności: wina to jednak ani Zielińskiego, ani niczyja, tylko wyobraźni starohelleńskiej, która mity te stworzyła, — wyobraźni, nie liczącej się z wymaganiami logiki i chronologji porównawczej.

Oto wiemy, że stryjeczna siostra Agamemnona i Menelaosa była matką Tezeusza: tymczasem Tezeusz jest współczesny ojcu tych dwu bohaterów Atreuszowi, i ojcu swej matki — Piteuszowi!... Takich nielogiczności jest więcej, choćby znowu z Tezeuszem. Żoną jego była Fedra, córka Minosa. Otóż Minos jest synem Europy, siostry Kadmusa, którego pra - prawnukiem jest Polinik, współczesny Tezeuszowi, z czego wynika, że Fedra mogłaby być pra - prababką swego męża!

Takich nielogiczności jest więcej, ale stanowią one, wzięte wszystkie razem, zupełnie znikomą ilość w porównaniu z doskonale logicznie skonstruowanym systemem pokrewieństw i powinowactw tworzących ze wszystkich bohaterów mitologji klasycznej jedną wielką rodzinę.

t. p.

Cukier z drzewa

Olbrzymi rozwój nauk chemicznych kładzie w dzisiejszych czasach zupełnie nowe, odrębne piętno na całem życiu przemysłowem i ekonomicznem. Wystarczy przytoczyć przemysł barwików anilinowych, czy zapachów syntetycznych, czy wreszcie gazów bojowych, — by zdać sobie sprawę z przeróżnych możliwości, jakie chemja dzisiejsza stworzyła.

Jednem z takich zagadnień, nad rozwiązaniem którego pracowali uczeni od stulecia już, — to kwestja uzyskiwania cukru z drzewa.

Jak wiadomo, w drzewach zarówno liściastych jak i szpilkowych głównym składnikiem jest celuloza, której zawartość wynosi 50—60%. Całe zagadnienie streszczało się więc w tem, by zapomocą odpowiednich procesów chemicznych spowodować rozkład tej celulozy i uzyskać z niej t. zw. glukozę czyli cukier gronowy.

Cukier gronowy stanowi ważny produkt przemysłowy, chętnie i w dużej mierze stosowany w przemyśle cukierniczym, i posiada wysoką wartość odżywczą.

* * *

Pierwsze próby w tym kierunku podjął w roku 1819 chemik francuski, Bracannot, który uzyskał z drzewa cukier gronowy przez rozkład celulozy zapomocą stężonego kwasu siarkowego. Próby te miały jednak znaczenie raczej teoretyczne, naukowe. Sama procedura uzyskiwania cukru była zbyt kosztowną, by mogła znaleźć praktyczne zastosowanie w przemyśle, a produkt uzyskany był zanieczyszczony.

Badania te podjęto ponownie z początkiem dwustego wieku. Impuls dali uczeni niemieccy, pragnący w latach wielkiej wojny i blokady gospodarczej Niemiec znaleźć tani a pożywczy surogat czy namiastkę cukru z buraków.

Dopiero jednak w roku 1927 w wielkich zakładach szwajcarskiej Spółki akcyjnej „La Cellulose" w Genewie przystąpiono do racjonalnej produkcji cukru drzewnego na większą skalę.

Stosuje się tu metodę Berginsa, jako najlepiej opłacalną i pozwalającą na całkowite wyzyskanie odpadków z przeróbki, co stanowi zawsze ideał każdego przemysłu.

Metoda ta polega na działaniu 40 procentowego kwasu solnego, któremu poddaje się drewno odpadkowe pośledniej jakości, dokładnie zmielone na trociny.

W ten sposób otrzymujemy surowy cukier drzewny, oraz jako produkty uboczne kwas octowy i ligninę (drzewnik). Ten ostatni składnik, sprasowany w brykiety, jest wysokowartościowym materjałem opałowym.

Uzyskany cukier drzewny, silnie jeszcze rozcieńczony, kondensuje się przez odparowanie, a następnie wpuszcza się do specjalnych wirówek, gdzie następuje oddzielenie syropu cukrowego od oleju. Wreszcie następuje usunięcie z niego resztek kwasu solnego zapomocą specjalnych zabiegów, stanowiących tajemnicę odnośnej fabryki.

Otrzymany tą drogą produkt zawiera 70% cukru gronowego (glukozy), 7—10% innych cukrów przyswajalnych przez organizm, 13—15% wody, oraz 7—10% popiołu i części organicznych.

Jak wykazały obleczenia, ze stu kg. drewna otrzymuje się 63 kg. czystej glukosy, 3 kg. innych cukrów, 4 kg. kwasu octowego i 30 kg. ligniny.

* * *

Cukier drzewny nie stanowi poważniejszej konkurencji dla cukru z buraków, gdyż jest od niego znacznie mniej słodki, a koszty jego produkcji są stosunkowo jeszcze bardzo wysokie. Natomiast znajduje on szerokie zastosowanie jako wysokowartościowa pasza dla bydła, co też obserwujemy już w krajach o typie raczej przemysłowym niż rolniczym, przedewszystkiem w Niemczech.

Kraje, obfitujące w tani materjał drzewny, a nie prowadzące hodowli buraków cukrowych, przystąpiły do fabrykacji cukru drzewnego na większą skalę. Dotyczy to zwłaszcza Szwajcarji i państw skandynawskich, gdzie przemysł wytwarzania cukru drzewnego rozwinął się już bardzo silnie, walcząc skutecznie z cukrem importowanym z zagranicy.

(kr.)

Jak wykorzystać wolny czas

Każda kobieta pragnie być piękną. Zdrowe ciało, świeża twarz są zawsze ładne. Aby je posiadać, oprócz troskliwego przestrzegania godzin snu i posiłku, należy umieć wykorzystywać wolny czas. Planowość pracy zapobiega bezpotrzebnemu zużywaniu energji i zostawia nam zawsze chwilkę wolnego czasu, który możemy przeznaczyć na odpoczynek. Nie myślę jednak o tej programowej chwili wytchnienia — ileż to bowiem marnujemy czasu w ciągu dnia, czekając naprzykład na kogoś ze znajomych. Czy zamiast, usiadłszy na brzeżku krzesełka, nerwowo przewracając kartki ilustracyj... których wcale nie oglądamy, nie byłoby bardziej pożytecznem, wyzyskać tę chwilę na odpoczynek dla nerwów? Należy poprostu „uprawiać spokój". Jeśli jesteśmy w pokoju same, pozwólmy opaść miękko naszym rękom, wyciągnijmy nogi opierając je wysoko, np. o stół, przymknijmy oczy. Minuta takiego bezwładu, o ile postaramy się również i o to, aby nasza myśl przestała pracować, wyda się nam bardzo długa, i bezwątpienia bedzie dla nas bardzo pożyteczna.

Niepożądani goście z zaświatów

Przed 31 laty, dnia 30 czerwca 1908 zdarzył się w przestrzeniach międzyplanetarnych niezwykły wypadek, który — mówiąc naszym ziemskim, dziennikarskim stylem — możnaby zamieścić w rubryce „zderzenie się dwóch pojazdów".

Olbrzymi meteoryt, masa żelaza, wagi kilkudziesięciu, a może i kilkuset tonn, zetknął się z drogą obiegu ziemi i pod wpływem siły przyciągania runął z piekielnym hukiem na naszą biedną planetę.

Na szczęście spadł w głębi niedostępnej, odludnej syberyjskiej tajgi, w pobliżu rzeki Podkamiennaja Tunguska, dopływu Jeniseju. Mówimy „na szczęście". Bo gdyby ów gość z zaświatów runął na Paryż, Londyn, czy N. Jork, — w ciągu paru minut nie pozostałby z nich kamień na kamieniu, a setki tysięcy ludzi zginęłoby w płomieniach.

O niesłychanej sile, z jaką taki gość z zaświatów spada i uderza o ziemię, świadczy fakt, że obserwatorja astronomiczne nietylko na Syberji, w Irkucku (w odległości 1000 klm.), lecz i w Europie (Jena Wiedeń) zanotowały w chwili jego spadku silne wstrząsy podziemne.

Rząd sowiecki wysyłał już dwukrotnie, w r. 1921 i 1927 ekspedycje naukowe na Syberję, celem odszukania miejsca, gdzie spadł ów meteoryt i przeprowadzenia naukowych badań. Ekspedycje, pod kierownictwem prof. Leonida Kulika, nie mogły dotrzeć na miejsce. Stwierdzono jedynie, że w miejscu, gdzie dawniej rozpościerał się niezmierzony las dziewiczy, dziś powstała olbrzymia kotlina. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów rozpościera się przerażająca pustka: tu i ówdzie tylko sterczą nagie pnie drzew, powyrywanych z korzeniami lub głębokie jamy, nieraz o średnicy kilkunastu metrów, — to otwory, wyżłobione przez drobniejsze odłamki meteorytu.

Tego rodzaju wypadki zdarzają się stosukowo bardzo rzadko. Zazwyczaj meteoryt rozpryskuje się na dziesiątki i setki drobniejszych odłamków, które wwiercają się głęboko w skorupę ziemską, nie pozostawiając żadnych widoczniejszych śladów.

Temniemniej spotkać można na ziemi szereg kraterów, których powstanie bez żadnej wątpliwości spowodowane zostało spadnięciem ogromnych meteorytów.

Najbardziej znanym i najdokładniej zbadanym jest wielki krater Canon Diablo w stanie Arizona, którego odkrycie w roku 1891 stanowiło prawdziwą sensację dla świata naukowego. Dokładne petrograficzne i geologiczne badania krateru i jego najbliższej okolicy doprowadziły do odnalezienia przeszło 4 tonn kosmicznego, niemal zupełnie czystego żelaza, z minimalną domieszką niklu i kobaltu.

Podobny wypadek zaobserwowano też w Australji: dnia 25 listopada 1930 olbrzymi meteoryt, w kształcie wspaniałej świecącej jaskrawo kuli, spadł w okolicy Henbury (Australja środkowa). Wysłana w tamte strony ekspedycja naukowa odkryła całą grupę, 13 mniejszych i większych kraterów, a całe pole dookoła usiane odłamkami meteorytów. Największy z tych kraterów posiadał wymiary 110:200 mtr., najmniejszy zaś średnicę 10 mtr.

Odkrycie to nastąpiło raczej przypadkowo i nie stało w żadnym związku z ową świecącą kulą, która spadła dnia 25 listopada, a której resztki zidentyfikowane przez ekspedycję, otrzymały nazwę meteorytów Karoonda. Ze stopnia bowiem zwietrzenia tych okruchów, jakie znaleziono w Henbury, wnioskować należy, iż kratery te powstały już przed tysiącami lat.

Wreszcie bardzo interesującego odkrycia dokonano ostatnio w Wabar, w pustyni Arabskiej, między Zatoką Perską i Adenem. Miejsce, w którem dokonano tego odkrycia, nosi oddawna u Arabów miano „Al Hadida" (miasto żelaza). Zdaniem jednak uczonego angielskiego Philby'ego, który tam przeprowadzał badania, idzie tu o bajeczne miasto „Ubar", które wedle starych kronik arabskich zostało ongi zniszczone „ogniem niebieskim".

Że podanie to wiąże się z jakimś kataklizmem przyrody, świadczą o tem znalezione w tej okolicy odłamki czystego żelaza, coprawda już niezbyt liczne i zupełnie zwietrzałe.

Dalszym dowodem na to są liczne otwory kraterów (coprawda zasypywanych już piaskiem pustyni), na brzegach których widoczny jest rodzaj naturalnego szkliwa, powstałego przez stopienie się piasku pod działaniem niesłychanego żaru.

Wedle obliczeń uczonych geologów i petrografów, w chwili spadania na ziemię meteoryt posiada temperaturę około 3500 st. C., — łatwo sobie zatem wyobrazić, jakie spustoszenie sieje on dookoła.

Wypadki tego rodzaju są na szczęście bardzo rzadkie. Z reguły rozpryskuje się meteoryt już w czasie swej drogi w atmosferze ziemskiej na setki drobnych odłamków, których całą masę znajdowano w rozmaitych punktach kuli ziemskiej, a które przechowywane są w muzeach przyrodniczych Wiednia, Paryża, N. Jorku i inn.

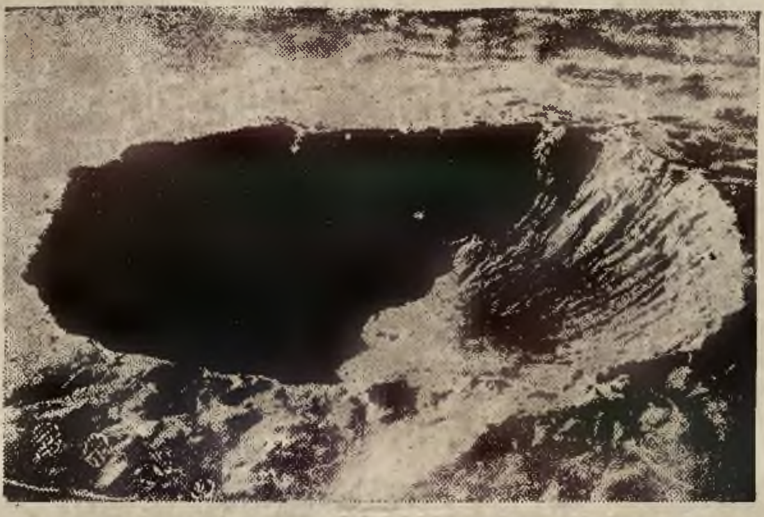
Fenomen spadania meteorytów znany był ludziom od najdawniejszych czasów. Już w Biblji znajdujemy o nich wzmiankę: Podczas walki Jozuego z Aramejczykami koło Betoron „Pan rzucał na nieprzyjaciół wielkie kamienie, od których wielu poginęło".

O „deszczu kamiennym" wspominają też pisarze rzymscy, jak Titus Livius.

Skład chemiczny meteorytów nie różni się zasadniczo od składu chemicznego kuli ziemskiej: przeważa w nich żelazo, obok którego znajdowano w drobnych ilościach: nikiel, kobalt, krzem, aluminjum, fosfor, siarkę, chlor, węgiel i inne.



Meteoryt wagi 780 kg. znaleziony w Charkas (Meksyk) a uchodzący u krajowców za świętość. Obecnie znajduje się w muzeum paryskiem.



Krater „Canon Diablo" w Arizona

Tak oto przedstawiają się nam ci niepożądani przybysze z zaświatów, którzy po przebyciu miljardów kilometrów w przestrzeniach międzyplanetarnych kończą swą wędrówkę za witrynami muzeum lub w czeluściach skorupy ziemskiej.

Odwieczni wędrowcy po niezbadanych szlakach niebieskich, nieme świadki kataklizmów, jakie rozgrywały się w kosmosie przed tysiącami czy miljonami lat.— **(R.)**

Ciężkowice - „skamieniałe miasto"

Wśród łupków i iłów Małopolski występuje niezwykle ciekawy i malowniczy utwór, który po raz pierwszy wydzielił prof. Emil Habdank Dunikowski w r. 1881, nadając mu nazwę „piaskowca ciężkowickiego". Ta petrograficzna formacja, odrębna wybitnie od otoczenia, łączy się z niepospolitym urokiem krajobrazowym, jaki napotykamy w środkowej części doliny Białej dunajcowej w pobliżu miasteczka Ciężkowice na linji kolejowej Tarnów — Krynica.

Miasteczko to, zupełnie przeciętne, liczące w r. 1931 — 2.078 mieszkańców, a tylko w sezonie letnim zamieszkałe dość gęsto przez letników, ma wcale piękną przeszłość historyczną. K. Potkański przypuszcza, że już w w. XI. wznosiła się nad Białą — obok Tarnowa i Tuchowa — osada Ciężkowice (Pisma pośmiertne, str. 304).

O założeniu osady szczegóły się nie przechowały. Wiadomo, że w połowie XIII wieku jest ona własnością Wydżgi, kasztelana sądeckiego, który ją rychło sprzedaje. W roku 1348 w wigilię św. Andrzeja (patrona miasta) 28 listopada nastąpiło „locatio civitatis Cieszkowice iure Theutonico per sussimum Casimirum Regem Viris discretis Minardo et Nicolao, fratribus uterinis, civibus de Sandecz antiqua".

Wśród szeregu przywilejów dla miasta zwraca uwagę przywilej Zygmunta Augusta z r. 1556 „de non conservatione Iudaeorum". Zamek ciężkowicki (w miejscu gdzie dziś staw na plebanji), czyli dwór starościński" bywał wraz z wsiami sąsiedniemi kolejno własnością licznych rodów, m. in. Laskowskich, Stadnickich, Brześciańskich, Trzecieskich, Bobrowskich.

W stuleciach XV i XVI słynęły Ciężkowice tkactwem i rozległym handlem z Węgrami. Z późniejszych szczegółów historycznych zanotować warto dwa fakty: wielki pożar miasta w r. 1830 i odmowa chłopów ciężkowickich namowom przystąpienia do rabacji.

Historja kościoła w Ciężkowicach jest także bogata. O pierwszym brak wiadomości, drugi drewniany ustawiono za Kazimierza Wielkiego w r. 1336, spalił się on od świecy w r. 1830. Niedołężna restauracja sprawiła, że wieża zawaliła się w r. 1893, niedługo po rezurekcji niszcząc cały kościół. Obecną świątynię w stylu nadwiślańskim wykończył w r. 1903 prof. Jan Sas-Zubrzycki. — W kościele jest cudowny obraz Pana Jezusa Łaskawego, który otrzymali dwaj księża pielgrzymi od papieża Innocentego XI.

Historja nie pozostawia jednak wybitniejszych śladów w dzisiejszym wyglądzie Ciężkowic, prócz może charakterystycznego budownictwa podcieniowego i nie starożytnością pociąga to miejsce. Urok jego tkwi w cudzie tutejszej natury.

Po obu stronach przełomu Białej w Pławnie rozciągają się przepiękne wzgórza, ubrane rumowiskami skał piaskowcowych. Skupienie największe i najefektowniejsze stanowią Ciężkowice. Do skał tych przywiązany jest świat najczarowniejszych legend, które wzbogacił straszliwy dech wielkiej wojny, która na tych ziemiach aż po Gorlice pozostawia niezapomniane pamiątki — tysiące krzyżów.

Legenda, daleko słynąca, mówi o pradawnych Ciężkowicach, które Bóg zaklął za wiarołomstwo ich pana w kamień. I oto całe ogromne miasto w kamieniu. I oglądamy: skalne wieżyce, baszty, kościoły, trony, nawet ludzi, prządki, czarownice. Wiele w nich podobieństwa do Prządek krośnieńskich, tylko że ciężkowickie skały są wielekroć potężniejsze. Rozsiane są po grzbietach gór i dolinach, piętrząc się na wysokości kilkudziesięciu metrów.

Najwspanialsze jest zbiorowisko skalne przy wodospadzie — czarowna studnia śródskalna, mroczna, usłana pierwotną roślinnością i dywanem mchów, dalej królująca nad horyzontem skała z krzyżem, wreszcie Borcuch, Grunwaldzka skała i Czarownica. Leżą one pośród najmilszych lasków i wzgórzy, opadających ku Białej, która podmywa bloki skalne.

Skały ciężkowickie utworzone są z piaskowca zwięzłego, gruboplytowego, spękanego i wietrzejącego, pochodzącego, wedle Friedberga, z okresu oligoceńskiego. Zasiąg jego jest bardzo daleki od Biecza do doliny Dunajca i od Stróż aż po Gromnik (kamieniołom).

Skałki ciężkowickie, rzadki i niezwykły zabytek krajobrazowy, były i są ustawicznie narażone na niszczenie, zwłaszcza ze strony przedsiębiorców kamieniołomów, którzy i tak zeszpecili ogromnie pierwotny czar skałek. Na tej podstawie Urząd Wojewódzki Krakowski na wniosek Państw. Rady Ochrony Przyrody jeszcze z końcem r. 1931 uznał ciężkowickie skały za rezerwat ochrony przyrody.

Ciężkowice zasługują na poważne zajęcie się niemi, na zbudowanie tu dużych pensjonatów i doprowadzenie ich rozpaczliwego i zżydziałego wyglądu do poziomu choćby trochę europejskiego.

JAN BIELATOWICZ (Kraków).

Duch Edisona

Feliks był radjoamatorem. Nie był to jego zawód, ale gdyby istniał w jego mieście urząd zatrudniający radjoamatorów, byłby z pewnością jego fanatycznym pracownikiem. Zamiłowanie z jakiem majstrował Feliks Baroux przy swym odbiorniku da się porównać jedynie z przyjemnością Kannibalów spożywających w swych gorących letniskach pięć razy dziennie białe mięso.

Żone Feliksa i dzieci były nieszczęśliwe. Tylko najbliżsi radjoamatorów mogą zrozumieć rozpacz rodziny Feliksa.

Każdego niemal wieczoru żona mawiała:

— Dziś musisz zostawić radjo w spokoju. Nadają moją ulubioną operę.

Feliks był wzorowym małżonkiem. Obiecywał solennie, że umożliwi żonie wysłuchanie transmisji. Usuwał się w kąt i z zamkniętemi oczyma oczekiwał pierwszych akordów. Zaledwie zabrzmiała jednak muzyka, Feliks był już przy aparacie. Jeden czy dwa ruchy ręką wystarczyły, aby zamiast upojnych tonów odezwała się kakafonja gwizdów i trzasków.

— Jesteś nieznośny Feliksie mówiła żona, czyż naprawdę nigdy nie przestaniesz bawić się tym odbiornikiem?

— Bawić się? — zdziwił się Feliks. Czy naprawdę nic nie rozumiesz?! przecież opera zaczyna się tonacją F-dur, ta tonacja jest wprost dla ucha zabójcza muszę natychmiast włączyć kondensator, który ją w odpowiedni sposób zmieni.

Chwileczka. Zaraz będzie dobrze.

— Ależ mój drogi to nie była wcale tonacja F-dur.

— Nie F-dur? Naprawdę nie? Nic nie szkodzi, — mruczał lekceważąco Feliks jakby odpędzając przeszkadzającą w pracy muchę. Ja chyba najlepiej wiem co to jest tonacja F-dur! Chwileczka zaraz będzie dobrze.

Zapowiedziana chwileczka trwa trzy godziny. Wreszcie zwracając się z tryumfującą miną do zasypiającej z nudów rodziny Feliks zawołał:

— Uwaga! Wszystko gotowe. Teraz już możecie słuchać.

Niestety transmisja opery była już skończona. a speaker w tej chwili właśnie mówił: — Na tem kończymy audycję i życzymy wszystkim radjosłuchaczkom i radjosłuchaczom dobrej nocy.

Powtarzało się to niemal codziennie. Feliks zawsze wynajdywał powód, który umożliwiał mu zaspokojenie radjoamatorskiej pasji. Nietylko F-dur ale także F-moll, Cis-dur, H-moll i G dur według jego zdania źle wpływały na zmysł słuchu. Kiedyindziej znowu audycja była za cicha, albo była za głośna, raz przeszkadzała interferencja obcej stacji, a raz zjawiały sie zbyt silne trzaski atmosferyczne... Feliks lamentował: — że też ja nigdy nie mogę wysłuchać porządnie audycji. Zdaje mi się, że naprawdę jeszcze nigdy nie słuchałem radja przez pełną godzinę.

Tak istotnie było. Gdyby Feliks był posiadaczem automobilu również używałby go tylko do naprawiania a nie do jazdy.

O wybudowanych przez Feliksa Baroux aparatach można pisać tomy. Trzylampowy odbiornik, który go kosztował pół roku pracy, rozebrał, aby zrobić czterolampowy. Ten znowu, aby zmienić na pięciolampowy. Ale i pięciolampowy podzielił los swoich poprzedników, gdyż w piśmie „Radjoamator" ukazał się jakiś rewelacyjny schemat ultrasuperheterodyny za pomocą której można było słuchać... śpiewu słowików zabranych pod biegun przez ekspedycję Byrda.

Trwało to lata. Żona Feliksa przyzwyczaiła się już że gdy chce słuchać radja musi udać się do sąsiadki, a dzieci do sąsiadki.

Tylko Feliks zostawał w domu i samotnie oddawał się zajęciu, które nazywał dostosowywaniem odbiornika do ostatnich wskazówek „Radioamatora".

Zdarzało się, że zasiadał do odbiornika świeżo ogolony a wchodził z długą brodą. Był już niemal doskonały. Żaden inżynier radjowy nie znał się na radjotechnice tak jak on, żaden też zapewne nie czuł w sobie tyle do tego powołania.

W miarę jak rozwijał się talent Feliksa wzrastała rozpacz żony.

Kochała przecież męża ale nie mogła zrozumieć tej pasji. Lekarze, których się radziła wzruszali ramionami. „Jest to niewątpliwie maniak. Nie należy mu jednak przeszkadzać, gdyż mogłoby to wywołać zbyt niebezpieczny wstrząs".

Wreszcie znalazł się lekarz, który chciał zrobić eksperyment. Dowiedział się, że Feliks Baroux interesuje się też okultyzmem.

— Mamy trzy drogi do wyboru — mówił do zrozpaczonej pani Baroux, albo obetniemy mu ręce, co mi się wydaje środkiem zbyt radykalnym, albo też zwiążemy mu je, ale to również jest nieco okrutne. Pozostaje więc tylko chytrym podstępem zmusić męża Pani do tego aby sam dobrowolnie wysłuchał przynajmniej raz audycji nie ruszając aparatu. Przyjdę wieczorem do państwa. Zobaczymy co się do zrobić.

Tegoż wieczora, gdy jak zwykle Feliks siedział przy aparacie i coś w nim poprawiał, zapukał ktoś nagle do drzwi. Wszedł młody lekarz w towarzystwie drugiego pana.

— Czy zastałem pana Feliksa Baroux?

— Tak to ja jestem, czego panowie sobie życzą?

— Nazywam się dr. Duvernois. Jestem przewodniczącym towarzystwa spirytystycznego. Wczoraj w czasie posiedzenia zjawił się nam duch wielkiego Edisona i wymówił tylko pańskie nazwisko. Nic więcej. Chciałbym wobec tego...

— Edison? — krzyknął prawie Feliks opuszczając śrubociąg i obcęgi na ziemię. — I wymówił moje nazwisko?

— Tak odpowiedział dr. Duvernois. Może teraz zrobimy mały seans. Musimy dowiedzieć się czego chciał Edison wymawiając pańskie nazwisko.

I zanim Feliks Baroux zdołał się zorjentować asystent dr. Duvernois ustawił na środku pokoju stolik, zciemnił światło i rozkazał wszystkim obecnym ułożyć ręce na stole w ten sposób, aby tworzyły nieprzerwany łańcuch. Zapanowała denerwująca cisza.

Wtem jakby z podziemi rozległ się głos:

— Hallo. Tu mówi Edison. Proszę włączyć aparat radjowy!

Feliks Baroux pobiegł natychmiast aby wykonać rozkaz. Drżąc ze wzruszenia włącza odbiornik. Popłynęły pierwsze dzwięk muzyki.

Za chwile łańcuch rąk zamknął się znowu. Wtem Feliks ponownie podbiegł do aparatu krzycząc:

— To jest tonacja F-dur! Nie mogę pozwolić, aby znakomity wynalazca nawet po śmierci nie miał spokoju przez tę szkodliwą tonację.

— Proszę się uspokoić zawołał głosem nie znoszącym sprzeciwu dr. Duvernois. Nie można w tej chwili przerywać łańcucha. Feilks usłuchał tem bardziej, że rozległ się głos samego Edisona: — Proszę słuchać i ręce trzymać przy sobie! — I popłynęła dziwna opowieść ze światów. Edison podkreślił jak wiele szczęścia daje słuchanie radja. a jak mało zadowolenia sprawia szukanie nowych możliwości radjotechnicznych. gdy za laboratorjum służy jadalnia dwupokojowego mieszkania. Mało tego. Edison swym zaziemskim głosem zaklinał się, że żadna tonacja nie jest tak piękna jak właśnie F-dur.

— Feliksie! Feliksie! — mówił do strwożonego radjoamatora Edison — patrzę codziennie do wnętrza twego domu. I boli mnie serce, gdy widzę, że jeszcze nigdy przez godzinę nie słuchałeś radja mimo pięciu aparatów własnoręcznie zrobionych. Feliksie myśl o wieczności. Jeżeli — tu głos Edisona nabrał szczególnie uroczystego brzmienia — nie będziesz słuchał radja w życiu doczesnem wówczas po śmierci nigdy nie będziesz mógł zrobić zwyczajnego detektora.

Feliks przerażony i zdumiony widzi, że żona, dzieci, dr. Duvernois i jego asystent — wszyscy z największą powagą słuchają głosu ducha wielkiego wynalazcy. Edison kończył: — Musimy znaleźć jakąś drogę wyjścia, gdyż los twój przejmuje mnie trwogą. Feliksie, przerzeknij mi, że przynajmniej przez godzinę dziennie zostawisz aparat w spokoju, aby móc słuchać radja. Dopiero potem możesz robić swoje radjoamatorskie doświadczenia. Przyrzeknij to.

Z głośnika płynęła muzyka w tonacji F-dur z wkładkami E-moll. To rzeczywiście cudne myślał Feliks. Jak przyjemnie jest być radjosłuchaczem.

Wyszeptał więc wzruszony: Przyrzekam!

Seans skończył się. Czekano wprawdzie jeszcze kilka minut, ale duch Edisona nie pojawiał się.

Dr. Duvernois i jego asystent żegnają się z Feliksem Baroux który siedział zamyślony. Pani Baroux odprowadzała gości do przedpokoju.

— Dziękuję panu panie doktorze, — mówiła z uśmiechem.

— Podziękowania należą się właściwie memu asystentowi. Nie ja jako lekarz. lecz on, jako brzuchomówca jest pani dobroczyńcą. **F. P.**

Wystawa światowa w Brukseli

W pobliżu zamku królewskiego w Laeken, na północny wschód od Brukseli rozciąga się wielka wyżyna Osseghem, pokryta starym, pięknym lasem.

Już król Leopold II. rzucił projekt wybudowania tam całej nowej dzielnicy, mającej stanowić niejako przedmieście dla przeludnionej i rozrastającej się w szybkiem tempie Brukseli. Projekt ten jest obecnie bliskim realizacji, a to dzięki wystawie światowej, której otwarcie nastąpić ma 25 kwietnia 1935.

Organizatorzy wystawy wyszli z założenia, że tego rodzaju wielka i niesłychanie kosztowna impreza jest jedyną sposobnością do powiększenia obszaru stolicy, zgodnie z zasadami wytycznemi współczesnego urbanizmu. Bruksela otrzyma zatem cały teren powystawowy, odpowiednio przygotowany i częściowo już planowo zabudowany.

Na obszarze stu szesnastu hektarów podjęte zostały przedwstępne prace, polegające na splantowaniu całego terenu, założeniu rur wodociągowych, kanalizacyjnych i gazowych, przewodów elektrycznych, oraz na wybudowaniu dróg i ulic. Wszystkie te, bardzo kosztowne. inwestycje, przedstawiają trwałą wartość i pozwolą na szybką rozbudowę całej dzielnicy z chwilą zamknięcia wystawy.

Nie zapomniano jednak o żadnych ... mogących ściągać tłumy zwietdzających. W środku całego terenu buduje się wspaniały pawilon centralny o wymiarach: 150 mtr. długości, 87 mt. szerokości a 31 mtr. wysokości.

Gotowy już stadjon sportowy, o 195 mtr. średnicy, pomieścić może 75 tysięcy widzów w czem 7.500 znajdzie miejsce na krytych trybunach.

Wśród 17 hektarów lasu, poprzerzynanego szerokiemi alejami, wybudowano sztuczne jezioro, nad brzegiem którego stanie teatr pod gołem niebiem. Niemałą atrakcją będzie też oddział kolonjalny, obrazujący pracę i bogactwo kolonji.



Zakątek starej Brukseli.

Sukces tej wystawy wydaje się już dziś zapewniony. Nie sprawdziły się obawy i przepowiednie pesymistów, że szalejący kryzys ekonomiczny i konpresje budżetowe oraz niepewna sytuacja polityczna odstraszą inne państwa od wzięcia czynnego udziału w wystawie. Już obecnie cały szereg państw zapowiedział oficjalnie swój udział, od Anglji i Francji począwszy aż do Brazylji. Łotwy, Egiptu i Etopji.

Wystawa światowa w Brukseli będzie doniosłem wydarzeniem politycznem i ekonomicznem, stanowiąc nowy, wielki krok na drodze pokojowej współpracy wszystkich narodów.

(kr.)



Centralna hala wystawowa w budowie

Płonie ognisko...

Zleciały młode orlęta, z najdalszych granic Rzplitej, by tu na odwiecznie polskiej ziemi kresowej, pełną piersią zaczerpnąć górskiego powietrza, zaprawiać się w trudach obozowej pracy, zaznać znoju i hart w sobie wyrobić.

Orłom najlepiej w górach! To też orlęta nasze — dzielne harcerzyki, prócz wzniosłych i szczytnych celów, jakie im nakazuje prawo harcerskie, najlepiej lubią odwiedzać w czasie wakacyj góry. Nie dziw więc, że wzdłuż całej doliny Prutu, po przez Gorgany Wschodnie, Beskid huculski, Czarnohorę, gęsto zaroiły się wysokie maszty, na które przy dźwiękach rannej pobudki, wznosi się dumnie sztandar biało-czerwony.

Dookoła masztów, białemi plamami rozsiadły się namioty — maleńkie państewka, pełne życia, humoru i mrówczej pracy. Harcerki i harcerze mile są widziani przez ludność tubylczą, huculów. Bo to dobre i mądre są te — odziane w szare sukienki, dziewczęta i pannice i ci w zielonych mundurach chłopcy i młodzieńcy. Niejeden raz w pracy pomogą, zaopiekują się gospodarstwem i dziećmi, poradzą dobrze człowiekowi, a zawsze są weseli, pełni humoru i śmiechu.

Wiadomo — prawo harcerskie, nakazuje harcerzowi spełniać dziennie, choć jeden dobry uczynek, a że teraz moda rekordów, więc brać harcerska, wykorzystuje ją w odniesieniu do tego prawa. Dobre uczynki, sypią się jak z rogu obfitości. A gdzież lepsza okazja, jak nie w udzieleniu pomocy hucułom?

Stąd też obopólne zadowolenie, zgoda i przywiązanie ludności huculskiej do harcerzy.

* * *

Na tle niebotycznych gór, w polskich Karpatach Wsch., w chwili, gdy wieczór granatem sklepienie niebieskie maluje, zapłonęło na polanie, pośród namiotów, ognisko.

Płonie ognisko... dookoła siedzą ginące w mrokach wieczoru postacie, dziwnie i niesamowicie zmienione odblaskiem ognia... W dal płynie pieśń:

„Płonie ognisko w lesie
wiatr smętną piosnkę niesie.
w około zaś drużyna,
gawędę rozpoczyna,
Czuj, czuj, czuwaj..."

Zwabiony słowami piosenki, zbliżam się i ja. Wkrąg wesoło płonącego ogniska, na ławkach, ad hoc harcerską przemyślnością skleconych i zaścielonych kocami, siedzą zaproszeni przez gościnnych harcerzy, letnicy i tubylcy - huculi. Wszyscy z ciekawością przysłuchują się śpiewom. Niektórzy, bywalcy w obozach harc., w poprzednich latach, również śpiewają.

Śpiewy przeplatane różnemi produkcjami, ekwilibrystyczno - tanecznemi, nagradzane są hucznemi oklaskami.

Młodziutki — bo ledwie od ziemi odrosły — harcerzyk, dorzucił drew do ognia, który na chwilę przygasł, by znowu trysnąć snopem iskier i kaskadą płomieni. Z koła wysuwa się inny, starszy harcerz z toporkiem w ręku i zaczyna taniec zbójnicki, do pieśni

Tańczy zgrabnie, lekko i z werwą. Radują się oczy nasze, dziwią się huculi, których taniec zbójnicki różni się od zbójnickiego podhalańskiego. Słowa piosenki, wraz z akompanjamentem klaskania w dłonie, podniecają tańczącego harcerza. Widać, że chce zaprodukować swój taniec jak najlepiej, poto tylko, by pokazać tu na wschodnich rubieżach, jak tańczą Górale z Tatr.

A potem piosenki za piosenkami — co młodość beztroska i wiara niezmącona zrodzić je musiała — płyną jedna za drugą.

A potem, najmłodsze harcerzyki popisują się dziwnie skomplikowanemi łamańcami, mającemi charakteryzować zręczność i zwinność — i znowu pieśni... przerwane głosem trąbki. Rozbawione twarze poważnieją, wszyscy wstają — i z młodych piersi, pod nieba strop wzbija się pieśń pełna wiary... „Pod Twą obronę"..., następnie pada komenda: Do sztandaru!

Wyprostowały się na baczność dzielne harcerzyki, w górę strzeliły młode ramiona, rozległ się głos trąbki, grającej wieczorny apel...

Z masztu powoli zjeżdżać poczęła flaga biało-czerwona, żegnana na noc, opuszczeniem rąk. Padła druga komenda: Modlitwa!

Ku ziemi pochyliły się kornie postacie harcerzy, niektórzy z gości też przyklękli, do stóp Stwórcy popłynęła prosta, lecz z serca modlitwa, za Ojczyznę, poległych harcerzy, za wszystkich i za siebie. Modlitwa, której Bóg napewno wysłucha. Po modlitwie chwila skupienia — coś w rodzaju rachunku sumienia... ognisko zagasa...

Na zakończenie tworzymy wspólny łańcuch. Spleceni uściskiem dłoni, harcerze, goście i huculi, słuchamy ostatniej piosenki:

„Idzie noc, słońce już zeszło z gór, zeszło z pól, zeszło z mórz,
w cichym śnie głowę złóż...
Bóg jest tuż..."

Zerwane podmuchem wiatru, strzeliły z pod kupy popiołów iskry — ostatni raz... ognisko zgasło...

* * *

Na drugi dzień rano, wścibiam swój nos do obozu, włażąc bez pardonu do centralnego namiotu, na którym powiewa mała chorągiewka, a na deszczułce napis oznajmia... „piekło". Odważnie wchodzę do tego „piekła". Witają mnie trochę zdziwione miny komendanta obozu dh. G. i innych harcerzy, ale udając, że tego nie spostrzegam, oznajmiam cel swojej wizyty i zaczynam... wywiad.

Brać harcerska znaną jest z gościnności i łatwości w obcowaniu, to też atmosfera sztywności prędko mija i po chwili gawędzimy jak starzy znajomi. Wywiad zaczynam od... strony materjalnej.



Obóz brzeskich harcerzy w Diłoku

W obozie jest 30 uczestników, wraz z dwoma opiekunami I drużyny harcerskiej im. ks. Józefa Poniatowskiego z Brzeska. Koszta pobytu w obozie, wynoszą na głowę coś ok. czterdzieści zł., z czego większość harcerzy mogła zapłacić tylko połowę. Trochę pieniędzy dostali z Hufca, trochę dały różne organizacje i instytucje społ. z Brzeska — i jakoś „biedę się klepie". Zapytuję, jakie wrażenie zrobiły na obozowiczach Karpaty Wschodnie?

— Karpaty Wsch. bardzo nam się podobają, — otrzymuję odpowiedź. — Tutejszą florę, przy każdej sposobności porównujemy z florą Pienin. W naszych obserwacjach doszliśmy do wniosku, że góry w Karpatach Wsch. są bardziej dzikie niż w Pieninach, dzięki ogromnym głazom. Nieraz wygląd takiej skalistej góry przejmował nas grozą.

— A tutejszy lud?

— Zainteresował nas bardzo — pada odpowiedź. — Piękne ich stroje, z których widać, że w doborze kolorów mają gust, oraz spotykane na każdym kroku zdobnictwo huculskie, bardzo nam się podobały. Obserwujemy życie huculskie i nawiązujemy kontakt z tymi nawskróś poczciwymi góralami, przy każdej możliwej sposobności.

— A jak z wycieczkami? — zapytuję.

— Niestety, prawie przez cały czas obozowania, mieliśmy deszcz tak, że wycieczek urządziliśmy mało. Do Jaremcza, dwa razy na Świniankę, na Gorgan Buraczykowski, do Worochty, na Makowicę i Howerlę.

* * *

W czasie pobytu w obozie poznaję obu opiekunów prof. gimn. z Brzeska. Po chwili wychodzimy przed namiot. Ciekawie rozglądam się po obozie. Takie sobie małe państewko. Ładne, kamieniami znaczone ścieżki, klomby, na których zamiast kwiatów, powtykano młode świerki.

Zapytuję, co oznacza tablica przed namiotem komendanta z napisem „piekło".

— Bo tu proszę pana, — odpowiada sympatyczny komendant obozu, dh. G. — mieszkają same djabły: Belzebub, Lucyfer i Mefisto. Na drugim namiocie napis: „Matecznik" — jest to siedziba „niedźwiedzi i niedźwiadków". W trzecim namiocie tabliczki ne zauważyłem.

W obozie ruch. Krzątają się dzielne harcerzyki, pośpiewując sobie. Praca wre... Po godzinnej prawie, rozmowie, żegnam miłych gości z Zachodnich Kresów, którzy gorąco zapraszają mnie do ponownych odwiedzin. Dowidzenia drodzy Przyjaciele... za rok!

Tadeusz Kwaśniewski

„Czarna Trzynastka" w Kutach

Pole, las, wycieczka, obóz — tam jest życie harcerskie! Tam harcerz młodą, swobodną piersią w pełni chwyta w płuca świeży powiew wiatru! Tam — w trudzie wyrabia swoją siłę i wytrwałość! Tam — oczy otwiera na cuda świata i zbliża się do niego, podpatrując jego tajniki.

Dnia 2 lipca br. wyjechała w tej intencji na 14-ty z rzędu obóz Poznańska Drużyna harcerska „Czarna 13" im. hetmana Jana Zamojskiego, pragnąc nietylko zrealizować programy wyrobienia harcerskiego, ale również spełnić za szczytną rolę zatarcia różnic dzielnicowych, które wytworzyły się pod panowaniem zaborcy.

Przyjechaliśmy tutaj, aby poznać tę część Polski, do tej pory najmniej znaną i najmniej rozumianą! Przebywając ten wielki szmat ziemi naszej, zawadziliśmy o Lwów, który wywarł na nas głębokie wrażenie i pozostawił niezatarte wspomnienia.

Przybyliśmy do Kołomyji, a po krótkiem zatrzymaniu się odjechaliśmy samochodami wojskowemi do Kut. W Kutach zostaliśmy bardzo gościnnie przyjęci i dzięki łaskawej pomocy p. burmistrza Wiktora Wysockiego, mieliśmy możność rozbicia obozu na pięknej polanie u stóp majestatycznie wznoszących się gór i skał nad wartkim, górskim potokiem. Miejsce wymarzone dla harcerza odczuwającego piękno przyrody. Od tej pory zaczęło się życie pełne urozmaicenia!.. Mieszkańcom Kut przedstawiliśmy się w dniu „Święta Morza", biorąc czynny udział w obchodzie.

Kilka dni później zorganizowaliśmy ognisko aby dać możność mieszkańcom Kut zapoznania się z organizacją harcerską zachodniej Polski. Imprezę tę zaszczycili swą obecnością p. burmistrz i licznie zebrana publiczność, z zainteresowaniem przyglądająca się naszym pokazom.

Liczne wycieczki krajoznawcze, które odbywamy, pozostawiają wrażenia i wyrabiają nasz charakter, kształtując go na podstawie otaczającego nas piękna. W ostatnich dniach dzięki uprzejmości naszych władz przekroczyliśmy granice naszej Ojczyzny, mając możność poznania sąsiedniego kraju. Zwiedziliśmy graniczne miasto rumuńskie „Wyżnicę" i odbyliśmy większą wycieczkę doliną Wiżenki aż pod górę „Nemczyc", skąd doliną Czeremoszu, przechodząc pod pasmem gór „Sokólskie" doszliśmy do mostu granicznego, opuszczając ziemie naszych sąsiadów. I tak jak w śnie cudownym upływają nam dnie.

Niedługo, pchani żądzą poznawania nowych krain, wyruszamy na większą wędrówkę, zdążając do Żabiego na zlot starszo-harcerski, a później przez górę „Pop Iwan" na Howerlę, skąd drogą powrotną na „Uście-ryki" do obozu.

W Kutach, 20 lipca 1934.

Zwinny Ryś



Obóz poznańskiej drużyny harcerskiej „Czarna „13" w Kutach

ŚWIAT KOBIECY

W cieniu ronda...

Moda tym razem przedzierżga się z niefrasobliwej lekkomyślnej osóbki, żyjącej dzisiejszym dniem, w skrzętną i dalekowidzącą gosposię. Na kalendarzu druga połowa lipca, a myśli się już o tem, co będzie na jesieni. Jeszcze coprawda ukazują się od czasu do czasu nowe cudowności letnie, ale brzmi to już jak post — scriptum do listu. Mowa tu, oczywiście, o kapeluszach.

Najaktualniejszym tematem w świecie mody jest teraz kwestja nowego jesiennego kapelusza. Możemy z łatwością przejść do kapelusza aksamitnego, ponieważ dżdżyste i chłodne lato pozwoliło nam przyzwyczaić się do słomy. Już w maju zresztą nosiło się słomę kombinowaną z aksamitem. Nawet olbrzymie białe panamy, żółte grubo-plecione paille rustique o metrowej średnicy miały główki pokryte miękko, drapowanym welurem. Były to pierwsze nieśmiałe zapowiedzi.

Powrót miękkich welurów i krótkostrzyżonych aksamitów witany jest zawsze z radością. Niema bowiem wdzięczniejszej ramki dla twarzy nad matową oprawę aksamitu.

Fason kapelusza pozostaje nadal ten sam. Duże rondo, głęboko opuszczone na oko z lewej strony w łagodnym łuku, odsłania prawą stronę twarzy. Niekiedy przypłaszczone i opuszczone pośrodku wznosi się śmiałą linją po obu bokach.

Przez cały dzień nosi się duży kapelusz. Na przedpołudnie do sportu: aksamitny canotier o płaskiem równem rondzie, przybrany angielską kokardą z gros - grain. Większy nieco i bardziej fantazyjny, najczęściej w kolorze „tête de negre", nadaje się do wszystkich sukien popołudniowych, od najskromniejszych wełnianych do strojnych jedwabnych i organdynowych.

Pozatem wracają na widownię berety, zmodernizowane, będące zaledwie echem uniwersalnych baskijek, ale jednak berety. Obwód ich jest duży, prawie tak duży, jak obwód kapeluszy. Niektóre są pomysłowo drapowane, a wszystkie twarzowe i eleganckie. Wykonywa się je z aksamitu, weluru, grubych i miękkich supełkowatych wełen. Podpina się je kokardami, klamrami lub piórami.

Rozmaitość fasonów zapowiada się wprost rewelacyjnie. Modne będą połączenia wszelkiego rodzaju. Czarny aksamit, podbity rubinowem satin, przytem główka opasana jest wianuszkiem ze srebrnych listeczków. Do tego rubinowe jedwabne rękawiczki gęsto stebnowane czarną nitką. Całość ekscentryczna, ale piękna.

Paryskie magazyny lansują motywy ptaków i skrzydeł. Marja Guy przybiera czarny kapelusz o lekko podniesionem z tyłu rondzie i małej płaskiej główce, dużym białym ptakiem rozpostatrtym na całej główce i zachodzącym na rondo. Maggy Rouff przybiera granatowe aksamitne canotierki niebieskiemi piórami strusia.

Maluczko, a obok aksamitu zaświeci jedwabny pilśń w kolorze szmaragdu lub koralu. Na zakończenie jeszcze jedna ekstrawagancja: beret z czarnej usztywnionej koronki do sukni, gdzie góra jest czarnych koronkowych falbanek ułożonych brzegiem do góry (szerokości od 7—10 cm). Całość wygląda, jakgdyby ramiona wynurzały się z czarnych płatków. Dół sukni ułożony jest z białych koronkowych falbanek.



Strojny komplet z tafty w biało-czarne paski kapelusz czarny białe rękawiczki

Pod znakiem lnu

Do dzisiejszej mody kobiecej len wkroczył śmiałym i odważnym krokiem. Nieśmiało zakradł się i do ubiorów męskich, ale zato kobietę dzisiejszą opanował zupełnie. Wraz z panią, jej toaletą, cały dom ustroił się również w lniane wyroby, począwszy od pościelowej bielizny, aż po ozdoby ścian, w formie najrozmaitszych makat i makatek. I oto mamy panią domu ubraną niemal od stóp do głów w lniane szaty, len lśni bielą na gustownych łóżkach, bielizna stołowa, ścierki, pokrycia meblowe, fartuchy, narzuty, makatki — wszystko lniane.

Aż przyjemnie popatrzeć, jak ta patrjotyczna moda wszystkim wyszła na dobre. Cała toaleta pani, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przekształciła się w stosy lnianych kompletów, sukienek, lnianych kapeluszy, pantofelków, jumprów, woreczków, parasolek oraz rękawiczek. Trykot lniany stał się bardzo modny, gustowny i ładny.

Jakżeż ślicznie wyglądają wiązane jumperki, berety, woreczki, szaliki, kapelusze, rozpięte potem na drucianym szkieleciku. Lniana nitka opanowała niemal całkowicie najmodniejsze modele kobiecych drobiazgów, jak rękawiczki, torebki i szaliki.

Koronkowe jumpry, ścisłe woreczki i kapelusze, lekkie przewiewne berety, misterne szaliki wiązane na olbrzymie, tak modne dzisiaj kokardy i skromniejsze węzły; z artystycznych ściegów zrobiono kołnierzyki i mankiety, to olbrzymia dziedzina konfekcyjna, z której jedne kobiety czerpać będą estetyczne zadowolenie, drugie środki materjalno — zarobkowe.

Jakżeż powabnie wygląda sylwetka młodej panienki ubranej w duży kapelusz płócienny koloru naturalnego z rozłożystem, lekko falującem rondem, na wzór ostatniej mody, sukienkę z wzorzystego barwnego płótna, na nią narzucony płaszczyk w barwie naturalnej, przybrany dużemi płaskiemi guzikami z drzewa.

Woreczek ręcznie zrobiony z lnianej nitki. Lniane w kolorze płaszcza i kapelusza pantofelki. Szalik zrobiony szydełkiem z lekkiej lnianej siatki w barwach sukni, związany na lekką fantazyjną kokardę.

Jedynie pończoszki pozostały jedwabne, bo zresztą nigdy chyba nie przerzucimy się na pończochy lniane.

Całość prześliczna, młoda, gustowna i... modna.

Len zdobył nietylko ulicę, również i plaża uległa zdecydowanie lnianej modzie. Dużo się mówi obecnie o zastąpieniu kostjumu kąpielowego z wełnianego trykotu, kostjumem z nici lnianych.

A już podczas podróży morzem lniany komplet jest wprost nie zastąpiony.

Pani ubrana od stóp do głowy w płótno robi jedynie ustępstwo dla dessous i pończoch, które pozostają z jedwabiu, pozatem: kapelusz, czy beret, suknia, okrycie, parasolka, pantofelki, czy sandały, wszystko to jest lniane i jakby stworzone dla jasnych kolorów plaży.

Kostjum dla dziewczynki

Potrzeba ogółem 3 mtr. materjału (płócienka), z tego 2 mtr. na kostjum metr na bluzeczkę, która może być zrobioną i z innego materjału.

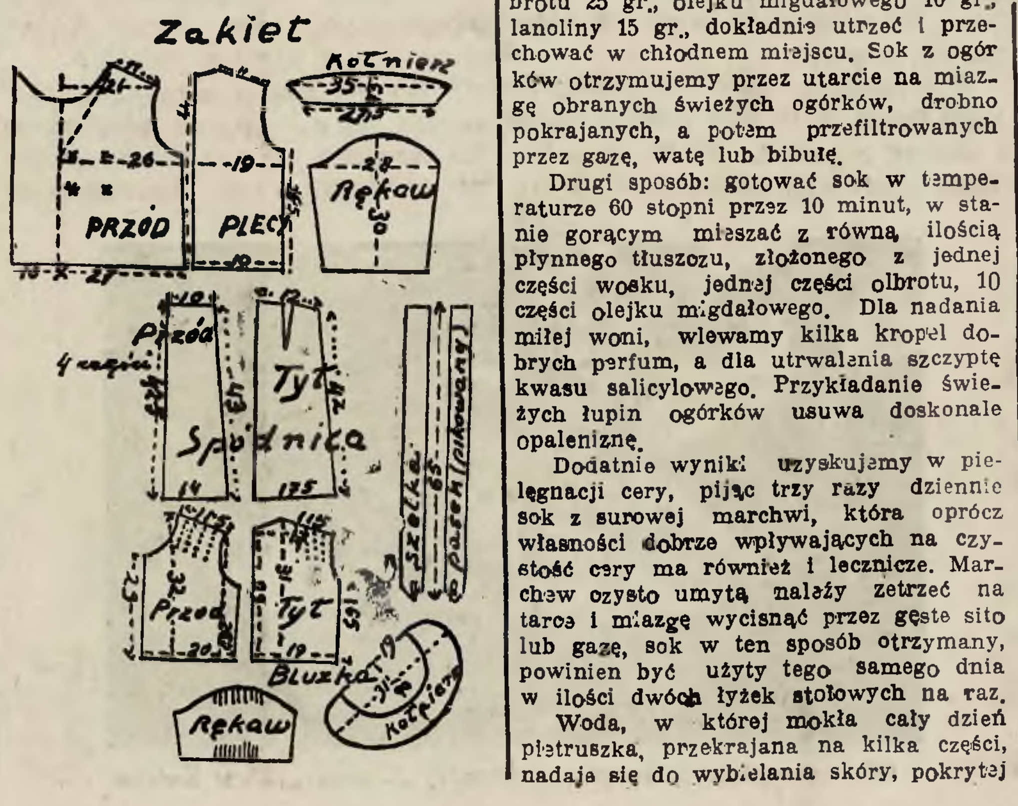
Spódniczka: Dwa kawałki materjału o wysokości 50 ctm. rozcinamy na cztery części, szerokie od 14 do 20ctm. na jednym z nich, bocznym zostawiamy odpowiednie rozcięcie do zapinania. Po obu bokach wszytki z tyłu prosta nitka. Szelki, 60 ctm. długości, krzyżują się na plecach, z przodu przypinane do paska dwoma guziczkami.

Bluzka: Wysokość 30 ctm., u góry okrągłe wycięcie. Na ramionach po cztery zakładki z każdej strony. Z przodu rozcięta na 12 ctm., zapinana na małe guziki z perłowej masy. Kołnierzyk wykładany, rękawy krótkie bufiaste.

Żakiecik: Szerokość 90 cm., długość 80 ctm., przeciąć w środku na całej długości, — zakładka na 9 ctm. Wycięcie pod szyją 8 ctm. Kołnierz prosta nitka. Plecy tej samej długości, szerokość 40 ctm., wycięcie u góry nieznaczne.

Rękawy 30 ctm. długości, z zakładkami.





Jarzyny a kosmetyka

Letni sezon, tak obfitujący w rozmaitego rodzaju jarzyny jest kopalnią praktycznych i tanich środków kosmetycznych.

Bezwzględnie najlepszym są ogórki, z których wyciśnięty i umiejętnie przyrządzony sok dostarcza nam wybielającego, a miłego w użyciu płynu lub kremu.

Krem ogórkowy przyrządzamy w sposób następujący. wosku białego rozgrzanego 30 gr., soku z ogórków 150 gr., olbrotu 25 gr., olejku migdałowego 10 gr., lanoliny 15 gr., dokładnie utrzeć i przechować w chłodnem miejscu. Sok z ogórków otrzymujemy przez utarcie na miazgę obranych świeżych ogórków, drobno pokrajanych, a potem przefiltrowanych przez gazę, watę lub bibułę.

Drugi sposób: gotować sok w temperaturze 60 stopni przez 10 minut, w stanie gorącym mieszać z równą ilością płynnego tłuszczu, złożonego z jednej części wosku, jednej części olbrotu, 10 części olejku migdałowego. Dla nadania miłej woni, wlewamy kilka kropel dobrych perfum, a dla utrwalenia szczyptę kwasu salicylowego. Przykładanie świeżych łupin ogórków usuwa doskonale opaleniznę.

Dodatnie wyniki uzyskujemy w pielęgnacji cery, pijąc trzy razy dziennie sok z surowej marchwi, która oprócz własności dobrze wpływających na czystość cery ma również i lecznicze. Marchew czysto umytą należy zetrzeć na tarce i miazgę wycisnąć przez gęste sito lub gazę, sok w ten sposób otrzymany, powinien być użyty tego samego dnia w ilości dwóch łyżek stołowych na raz.

Woda, w której mokła cały dzień pietruszka, przekrajana na kilka części, nadaje się do wybielania skóry, pokrytej piegami, które bledną, a cera delikatnieje i bieleje. Smarować można również bezpośrednio miejsca pokryte piegami sokiem z niedojrzałych porzeczek.

Owoce w zastosowaniu kosmetycznem mają duże i miłe w użyciu znaczenie. Poziomki, truskawki, które bezpośrednio lekko rozgniatamy na twarzy, pokrywając ją sokiem owocowym na przeciąg najmniej godziny, doskonale wpływają na cerę. Aby kuracja owocowa dała pożądany rezultat, musi być przeprowadzona najmniej w okresie dwudziestu dni; do spłókania twarzy należy używać wody deszczowej lub różanej. Bardzo dobrze odświeża i chroni od zmarszczek jabłko gotowane w mleku, a zachwalany ogólnie jest sok z brzoskwini, pozostawiony na twarzy na przeciąg godziny i zmyty następnie wodą deszczową lub różaną.

Berety, po wypraniu w rozgotowanem mydle, naciągamy na płaski talerz średniej wielkości, aby nabrały prawdziwego kształtu.

Pończochy jedwabne powinny się prać w zimnej wodzie, gdyż od gorącej tracą połysk i łatwo się drą. Nie należy ich nigdy prasować.